
AS
Nr. 11
12 MARCA 1939 R.
CENA 40 GROSZY
Wiosenne marzenia
Isa Miranda, gwiazda Hollywoodu

POETA POLSKOŚCI



STULECIE URODZIN ADOLFA DYGASIŃSKIEGO



W papierach pośmiertnych pozostawił autor „Godów życia" zbiór myśli, które rozwinąć miał w nigdy nienapisanem już studjum na temat zadań literatury, powołania autorów, zagadnień książki i czytelnictwa. Wśród tych myśli znajdziemy takie, skondensowane w aforystyczną formę, uwagi:

„Literatura. Znaczenie jej w życiowym procesie społeczeństwa, ponieważ jest ona wcieleniem duchowych sił narodu; a jeśli jej niema, to sił takich brakuje, albo jeszcze śpią. Literatury nie może przepisywać żadna kancelarja. Hałasy, wrzaski literackie przebrzmią, zostanie to, co jest dobre, piękne, szlachetne istotnie. Każda literatura, choćby bardzo stronna, zawsze wyższa od życia społecznego. Literatura ma od Boga pełnomocnictwo sądzić".

A o autorze?

„Nikt tak dobrze, dokładnie nie zagląda we własną duszę, jak rzeczywisty artysta. Dobrze dla niego, gdy spostrzeże, że wśród ludzi chodzi w masce. Tajemnica jego roboty często na tem polega. Podpatrzeć siebie jest to warunek podpatrywania całej natury".

Jeżeli te głębokie myśli Adolfa Dygasińskiego wysuwam na czoło notatki, rejestrującej stulecie urodzin pisarza, to dlatego, że one niezwykle trafnie odsłaniają przyczyny nagłego renesansu twórczości autora „Margieli i Margielki", autora do dziś dnia zapomnianego i niemal nieznanego, choć pod adresem wielu czołowych pisarzy doby współczesnej możnaby zawołać: „Wy z niego wszyscy!" Ale mody przechodzą, wrzaski literackie raz po raz odsuwają się w głuchy cień niepamięci i niechęci, a trud pisarski Dygasińskiego nabiera coraz mocniejszych kolorów, żyje pełniej i twórczo, bo zawsze „zostaje to, co dobre, piękne, szlachetne istotnie". A tajemnica niezniszczalnej żywotności dzieła pisarskiego Dygasińskiego tkwi w tem, że autor był artystą, że umiał głęboko zajrzeć we własną duszę, a przeżyciom osobistym nadać sens społeczny, narodowy i ogólnoludzki.

„Podpatrzeć siebie jest to warunek podpatrywania całej natury". W sobie odnaleźć mógł tylko uczucie serdecznego umiłowania ziemi rodzinnej, rozumienia, uznania i współczucia dla wszelkich objawów życia i dla wszystkich istot, uczucie gorącego patrjotyzmu i szczerego demokratyzmu — wszak był powstańcem z 63 r., wszak poznał w podróży do Brazylji potworną nędzę polskiej emigracji. Stąd też, jak słusznie zauważa K. Czachowski — „w widzeniu i pod piórem Dygasińskiego natura ma swoją duszę i jest to dusza polska". Zaś Władysław Wolert stwierdza, że „Dygasiński to był pisarz, którego dusza najgłębiej wypowiadała to, co płynęło z niezbadanych tajemnic, a jednak rzeczywistych falowań ducha naszej ziemi. Gdy los rzucił go do Petersburga, w jednym z listów do córki pisze: „Tam gdzieś daleko, śmieje się do mnie ziemia małopolska i czuję, że człowiek jest niewolnikiem swej ojczyzny. Ziemię kocha się po synowsku".

* * *

Dygasiński urodził się dn. 7 marca 1839 r. w Niegosłowicach nad Nidą. Jako student wydziału filologicznego Szkoły Głównej w Warszawie, brał udział w powstaniu styczniowem, po upadku którego przeniósł się na dalsze studja do Pragi. Po ich ukończeniu przyswoił naszej kulturze w wielu tłumaczeniach poważne dzieła przyrodnicze, filozoficzne, lingwistyczne, pracował jako nauczyciel, m. in. wychował Jacka Malczewskiego i silny wpływ wywarł na jego indywidualność artystyczną. W latach 1871—1877 osiadł w Krakowie, gdzie prowadził pensjonat pedagogiczny dla chłopców i księgarnię wydawniczą, nakładem której, obok wielu przekładów, ukazują się pierwsze dzieła dramatyczne Świętochowskiego („Ojciec Makary") i Asnyka („Żyd"). Po bankructwie księgarni przenosi się do Warszawy i, borykając się z licznymi kłopotami i niedostatkami, zostaje pisarzem. Po czterdziestym roku życia, w wieku conradowskim. — Zmarł dn. 3-go czerwca 1902 w Grodzisku pod Warszawą.

W wspomnieniach o swym ojcu powiedziała niedawno córka autora „Asa", p. Zofja Wolertowa: „Serce miał na dłoni. Prus był dobry, ale Dygasiński przewyższał chyba Prusa w uczynności i serdeczności. Z tego powodu często cierpiał, ale nie umiał, nie chciał się zmieniać. — Socjalistą nigdy nie był, ale żywo odczuwał dolę chłopów i proletarjatu. Jakże za te cechy charakteru i twórczości cenił go Żeromski...

Trudno było żyć mojemu ojcu. Miasta nie znosił, tęsknił za wsią. Franciszkańską dobrocią zadziwiał nas, rodzinę i ludzi obcych. W chwilach artystycznej szczerości mówił do mnie dziwnie:

— Wiesz, dziecko, czuję jakieś tajemnicze ręce, które mnie stąd wypychają — a po chwili dodawał: — Szczęśliwy jestem, bo znalazłem w literaturze siebie, stworzyłem sobie własną szkołę i nie zginę w sztuce...".

* * *



Adolf Dygasiński, rysunek Edwarda Dodackiego, według szkicu portretowego Jacka Malczewskiego.

Twórczość zapomnianego pisarza przypomni społeczeństwu przez rodzinę pisarza zainicjowane a przez Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska" realizowane zbiorowe wydanie dzieł Dygasińskiego, które obejmie zgórą 155 utworów (powieści, nowel bajek itd.) w 35 tomach. Złożą się na nie przedewszystkiem dzieła takie: „Von Molken", „Na warszawskim bruku", „Nowe tajemnice Warszawy", „Pan Jędrzej Piszczalski", „Robinson Polski", „Gorzałka", „As", „Dramaty łbądzkie", „Cudowne bajki", „Zając", „W Swojczy", „Margiela i Margielka", „Gody życia" itd. Krytycznego opracowania całości podjął się prof. Wład. Wolert, świetny biograf i znawca twórczości Dygasińskiego, zaś Adam Grzymała Siedlecki, Stefan Kołaczkowski i Kazimierz Simm poprzedzą zbiorowe wydanie przedmowami, charakteryzującemi dorobek pisarski autora „Godów życia" z kilku punktów widzenia.

Równocześnie z pierwszymi tomami zbiorowego wydania ukazała się nakładem „Bibljoteki Polskiej" popularna rozprawka Kazimierza Czachowskiego, dająca zwięzły a sugestywny wizerunek ideowy i artystyczny Dygasińskiego, równocześnie przekonywująco wskazująca na doniosłe, często prekursorskie znaczenie jego twórczości.

Dygasiński był jednym z pierwszych epików ludu polskiego, a w każdym razie inicjatorem wprowadzenia chłopskiej polszczyzny do języka literackiego. Za jego przykładem poszli Witkiewicz i Tetmajer, Sienkiewicz i Reymont. W twórczości Dygasińskiego znajdziemy niezwykłe bogactwo problematyki i społecznej i psychologicznej, jego dzieła poruszają wiele tematów nowych, lub w nowem, niezwykłem świetle je ukazują. Powieści Dygasińkiego czyta się niezmiernie łatwo i z niesłabnącem zaciekawieniem, wskutek czego — jak trafnie zauważa Czachowski — „czytelnik powierzchowny przeoczyć może głębszy sens fabuły lub charakterystyki, który dla czytelnika uważnego staje się przedmiotem istotnego zainteresowania. Mało kto z pisarzy tak jak Dygasiński, przemawia do wszystkich czytelników i zarazem do mniej licznych intelektualistów".

Bardzo cenne uwagi poświęca cytowany krytyk artyzmowi sztuki pisarskiej Dygasińskiego, zagadnieniu, podobnie jak wiele innych, dotąd niezbadanemu. Niewątpliwie renesans czytelniczy dzieł pisarza wzbudzi również zainteresowanie krytyków i historyków literatury, a wszyscy pamiętać winni słowa Stefana Żeromskiego, że Dygasiński jest:

„zapomnianym władcą pewnego obszaru mowy naszej, języka nizin i dalekości słowiańskiej, lasów i pól, pracy w polach i po chałupach...",

jest pisarzem, który:

„bardziej nas zbliżył do pierwoźródła mowy słowiańskiej, niż wszyscy pisarze ostatnich lat kilkudziesięciu razem wzięci, samoistnym człowiekiem, którego bezwzględne widzenie rzeczy, ogromu życia w jego całości i prawdzie, bez cienia ozdoby, dało mu możność wykonania dzieł jedynych w swoim rodzaju, nie tylko w naszej, lecz w powszechnej literaturze".

(s. w. bal.)

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 11 — **Niedziela, 12 marca 1939** — **Rok V**

ASY NUMERU 11-GO:



Wide World Photos, Londyn

Jasny Brzeg zachował po dziś dzień przywilej goszczenia wielkich tego świata, nic też dziwnego, że nawet z dalekiej północy przybywają tam monarchowie Szwecji i Danji. Ostatnio zjawił się na francuskiej Riwierze król duński Krystjan X, który będąc zapalonym sportowcem, odbywa po lazurowem morzu dalekie wycieczki swym jachtem, ciesząc się słońcem i ...zapominając o kłopotach politycznych, których i jemu nie brak.

FAUST

W NOWEJ INSCENIZACJI

Nieprawdopodobne wprost w kilku ciekawych szczegółach dzieje bieżącego sezonu opery warszawskiej wymagają dokładnego omówienia i przeprowadzenia możliwie najszerszej dyskusji.

Cóż właściwie stało się tak nadzwyczajnego? Oto w warszawskiej operze odniosła niebywały sukces... opera! Opera stara jak świat, „Faust" Gounoda. W ciągu trzech miesięcy blisko 50 przedstawień. Jest to wypadek nienotowany w dziejach polskiej opery od lat kilkunastu. A równocześnie, w tejże operze wystawione trzy kolejne operetki nie cieszyły się wzięciem u publiczności, czyli, mówiąc gwarą teatralną, poprostu „zrobiły klapę". Poczciwy stary „Faust" łatał „bitymi kompletami" niedobory kasowe, zawinione przez Lehára i Kalmána. Gdyby ktoś pół roku temu wróżył taki przebieg sezonu operowego 1938/39, uważanoby go za... najlepszego kawalarza, lub niepoprawnego marzyciela.

W ostatnich latach dyrekcje opery warszawskiej, jedynej polskiej stałej sceny par excellence operowej, zmieniały się bardzo często. Dyskusje na temat deficytów opery nie schodzą ze szpalt prasy. Ponure refleksje o całkowitym upadku zamiłowań muzycznych wśród współczesnego pokolenia polskiego zabijają wszelkie chęci ratowania sprawy i inicjatywę prywatną. Zmieniające się dyrekcje opery z reguły już ustalają repertuar w ten sposób: wystawionych będzie siedem, osiem, dziesięć operetek, dla podtrzymania budżetu opery, oraz dwie opery... dla prestige'u! Tak było od wielu lat, i takie samo exposé wygłosiła obecna dyrekcja u progu sezonu 1938/39. Wystawiła jedną operetkę, drugą, trzecią. Nie „chwyciły". Wystawiła „Fausta", i o dziwo — powodzenie niespotykane, jakiego nie pamiętają bywalcy teatralni stolicy.

Musi w tem wszystkiem być powód zasadniczy, a nie prosty przypadek.

Poszedłem na owego najnowszego Fausta. Uprosiłem dyrektora Opery warszawskiej, a przytem inscenizatora i realizatora tego widowiska, dyr. Dołżyckiego o wywiad, który przemienił się w kilkugodzinną pouczającą dyskusję. Potem poszedłem jeszcze raz na „Fausta", oraz — dla kontrastu — na „Madame Butterfly", która nie była premjerą, lecz zwyczajnem wznowieniem, a więc operą wystawioną w takiej postaci, jak oglądano ją pięć i dwadzieściapięć lat temu.



Powyżej: Scena w karczmie w pierwszym akcie.

Poniżej: Barbara Kostrzewska, primadonna opery warszawskiej w roli Małgorzaty.





Scena w kościele — jeden z najmocniejszych momentów opery.

Oto moje rozważania i wnioski.

Przypomnijmy sobie którąkolwiek z rozmów na temat opery. W towarzystwie zawsze znajdą się pełni zapału jej wielbiciele, i zażarci wrogowie. Ci wrogowie mówią przeważnie:

— Nienawidzę opery. Chór, który śpiewa przez pół godziny:

„Więc spieszmy się, więc spieszmy się...",

a stoi nieruchomo w miejscu, rozśmiesza mnie. Tenor, śpiewający bez ustanku:

„Podaj mi, podaj mi, podaj, podaj, podaj mi..."

i decydujący się dopiero po kwadransie na sprecyzowanie swej głębokiej w treści prośby:

„Podaj mi swą rękę jedyna..."

doprowadza mnie do szału. To są kpiny ze zdrowego rozsądku!

Tak mówią bardzo często ludzie, którzy — może nie są muzykami, melomanami, (nie każdy człowiek kulturalny musi być melomanem), ale którzy napewno z wielką przyjemnością słuchaliby opery, i nieraz zasilaliby kasy teatrów operowych gotówką, gdyby opera dawała im wzruszenia, poprostu... zrozumiałe, na poziomie umysłowości współczesnej.

Wzorowym przykładem sytuacji, która musiała u współczesnego widza wywołać zawsze uśmiech ironji, jeśli nie politowania, była scena w kościele z opery „Faust".

Małgorzata., która zgrzeszyła, postanawia ukorzyć się przed Bogiem. Czołga się na kolanach u wrót kościoła. A po kościele spaceruje sobie, jak u siebie w domu... szatan! Ukrywa się za jakimś filarem i śpiewa do Małgorzaty.

Małgorzata oczywiście nie spostrzega szatana, choć wystarczało odwrócić tyko głowę w kierunku najbliższego filaru. W dodatku śpiewa ona dosłownie:

„Skąd ten głos, który się n a d e m n ą rozlega?..."

Mefisto nonszalanckim krokiem wszedł wtedy za następny filar kościelny. Nic sobie nie robił z pobytu w domu Bożym, i nie pamiętał, jak to w poprzednim akcie, na sam widok głowicy miecza, podobnej tylko kształtem do krzyża, skręcał się w nieprawdopodobnych męczarniach.

Opera nie jest czystą muzyką, jest przedewszystkiem widowiskiem teatralnem. W przeciwnym wypadku grywanoby opery w salach koncertowych a nie na scenie.

Dlaczegóż więc opera, jedna jedyna opera, wśród wielu innych rodzajów widowisk scenicznych, miała nie podążyć za nowymi prądami reżyserskiemi i inscenizacyjnemi, które dramatowi, komedji, nawet operetce współczesnej dodały tak wiele wartości i wzniosły je na wyżyny wielkiej sztuki?



Na prawo: Scena ostatnia — Małgorzata w więzieniu, w interpretacji Barbary Kostrzewskiej. Zdjęcia: Fot. J. Malarski — Warszawa.



Powyżej: Noc Walpurgji w nowej inscenizacji dyr. Dołżyckiego.

Na prawo: „Szatan i pokusa" z nocy Walpurgji.



Podciągnąć starą, zmurszałą operę do współczesności, to nie znaczy jednak dać operze nowe libretto, czy też kazać chórowi biec przez scenę, ponieważ śpiewa „Spieszmy się". Libretto opery jest tak ściśle związane z muzyką, że niepodobieństwem jest coś zmienić, coś ulepszyć w operze, bez naruszenia muzyki. Tu oto tkwi zasadniczy sens zagadnienia. Utwory muzyczne, przekazane nam przez przodków, zwłaszcza te klasyczne, najpoważniejsze, uważane są za pewnego rodzaju świętość, której tknąć nie można, gdzie przestawienie kilku taktów uważane jest za świętokradztwo.

Z „tradycją" tą należy bezwarunkowo zerwać. Nie dlatego, by zadość uczynić kpiarzom, wyśmiewającym się ze śmiesznych archaizmów opery. Ale dla dobra samej opery, która musi podążyć za współczesnością, jeśli nie chce zginąć. Cały świat przystosowuje się do nowych warunków życia. Tłumaczy się na nowo Platona. Interpretuje się nowemi sposobami Kanta, Spinozę. Ba! Kościół katolicki dochodzi do wniosku, że należy w najbliższym czasie przystąpić do nowego tłumaczenia Pisma Świętego...

Dlaczego więc muzyka operowa ma pozostać nietkniętą świętością?

W związku z warszawskim „Faustem", którego dyr. Dołżycki wystawił zupełnie na nowo, zmieniając porządek obrazów, arji, opuszczając całe koncertata i partje muzyczne, zaszedł znamienny wypadek.

Wielu krytyków warszawskich potępiło dyr. Dołżyckiego, nie cofając się przed używaniem takich słów w swych krytykach, jak „świętokradztwo" et. c. Jeden z krytyków zajął się specjalnie arją Walentego t. zw. „Arją z medaljonem", — przeniesioną przez Dołżyckiego „samowolnie" z aktu drugiego, do prologu, dowodząc, iż był to dziwny, nieuzasadniony pomysł.

A tymczasem... popatrzmy do oryginalnego wydania „Fausta" (Partition Chant et Piano, transcrite par Léon Delibes, Paris, Choudens Editeur), na stronę 47). Walenty, który w tem miejscu rozpoczynał ową arję z medaljonem, śpiewa w tem, oryginalnem wydaniu „Fausta", zaledwie pięć taktów. Okazuje się, że cała arja z medaljonem została przez Gounoda dopisana w wiele lat po powstaniu „Fausta", na prośbę któregoś ze śpiewaków i wstawiona, nawet dość sztucznie, w scenę na kiermaszu. Arja ta nie wiązała się logicznie, z całością sceny. Wynika stąd, że często opinje o „nietykalności" opery wynikają nie ze znajomości... muzyki, ale z konserwatyzmu i... uporu!

Jeśli wykwalifikowany reżyser dramatu ma prawo skreślać całe zdania nawet sceny z egzemplarza autorskiego, tak samo powołany do tego i wykwalifkowany inscenizator opery, ma bezwarunkowo prawo do skreśleń, przesunięć i, w miarę, swobodnej interpretacji.

Co uczynił dyr. Dołżycki ze swoim tegorocznym „Faustem"?

Unowocześnił go, sprawił, że widowisko tworzy dziś logiczną całość. Sceny i dialogi nabrały uzasadnienia, akcja toczy się szybko, bez nieuzasadnionych przerw. „Faust" Dołżyckiego stał się piękną baśnią, pełną poetycznego romantyzmu, tworząc jednocześnie dobrze skomponowany dramat sceniczny. Muzycznie — „Faust" pozostał nadal — mimo skreśleń i przeniesień — arcydziełem, które zdolne jest zachwycić i wzbudzić żywsze uniesienia słuchacza.

Nasuwa się tu automatycznie pytanie: Czy wystawiając operę, pragniemy wzbudzić w słuchaczu takie właśnie piękne uczucia, czy idzie nam o to, by spoczywający w grobie kompozytor cieszył się, że nie opuszczono mu ani jednej nutki?

A oto kilka przykładów nowych momentów inscenizacyjnych, przeprowadzonych w warszawskiem przedstawieniu:

Dokończenie na str. 20-tej.

„ARTYLERJA" ZWIERZĄT I ROŚLIN



Istnieje przysłowie, że człowiek nie odrazu wynalazł proch. W istocie człowiek od chwili, gdy pojawił się na ziemi, musiał krok za krokiem zdobywać doświadczenie i uczyć się żyć. Musiał zmagać się z wieloma zagrażającemi zewsząd niebezpieczeństwami a przedewszystkiem chronić się przed dzikiemi zwierzętami. Broń, jakiej używał czyto dla zabezpieczenia swego życia czy też podczas polowania dla zdobycia jadła, była bardzo prymitywna. Jakżeż olbrzymia przepaść dzieliła człowieka leśnego, posługującego się kawałkami ostrych kamieni od człowieka, którego mózg wymyślił śmiercionośną broń palną!

Zarówno u roślin, jak i zwierząt występują liczne rodzaje broni, skutecznej w walce z innymi organizmami, które im zagrażają. Broń, w którą są wyposażone, dozwala im nie tylko bronić się, ale także i zdobywać pokarm a nawet i rozmnażać się.

Wprawdzie broń roślin czy też zwierząt nie jest sporządzona ani ze stali ani z żelaza, niemniej jednak jest ona bardzo precyzyjna zarówno w swej budowie, jak i działaniu. Daje ona możność zwycięstwa zwierzęciu czy też roślinie w walce o byt.

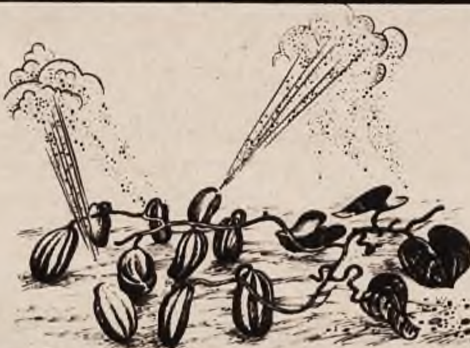
Wśród ryb znajduje się bardzo wiele żarłocznych drapieżców, które żywią się innymi wodnymi mieszkańcami, inne znowu są jaroszami, a jeszcze inne karmią się owadami. Do ryb, których pokarm stanowią wyłącznie owady, należy pryskacz, rybka nieco większa ponad 20 centymetrów, żyjąca w wodach jawajskich. Niby najlepszy strzelec, nadzwyczaj celnie trafia ona swe ofiary, siedzące na liściach roślin nadwodnych cienkim lecz mocnym strumieniem wody, wyrzuconym z paszczy, często na wysokość jednego metra. Jawajczycy trzymają często ową rybkę w akwarjach dla rozrywki, gdyż cieszy ich widok rybki zestrzeliwującej zręcznie zdobycz.

Nie zawsze podobna fontanna wody wyrzucona z siłą przez zwierzę służy mu do zdobycia pokarmu, dla napełnienia zgłodniałego żołądka. Czasem spełnia ona inne zupełnie zadanie.

Oto u słodkowodnej małży, zwanej skójką malarską, której całe ciało zamknięte jest w dwóch skorupach, można zauważyć w okresie późnej wiosny, w maju lub czerwcu ciekawe zjawisko. Zagrzebane do połowy w mule, nad brzegiem rzeki, gdy słońce schyli się już ku zachodowi, w pewnych określonych odstępach czasu wyrzucają one strumień wody często nawet na odległość jednego metra. Z strumieniem tym zostają wyrzucone drobniutkie larwy owej małży. Dzięki sile, z jaką wytryska fontanna, wydostają się one jaknajdalej od organizmu macierzystego, co nie pozostaje bez znaczenia dla ich rozprzestrzeniania się. Dla dalszego rozwoju muszą się one dostać do ciała ryby. Przyczepiają się do jej skóry i tam ulegają przeobrażeniu. Gdy dorosną, w ten sam sposób wyrzucać będą swe potomstwo.

Kto tylko odróżnia pokrzywę od innych roślin, ten jej nie dotknie, zna bowiem doskonale jej zdolność parzenia. Pokrzywa jest pokryta włoskami, które zawierają w sobie ostry i gryzący kwas mrówczany. Koniec każdego włoska posiada delikatną i kruchą główkę. Kdy ktoś niebacznie dotknie się pokrzywy, owe główki się kruszą, końce włosków wbijają się w ciało, a równocześnie do rany wlewa się gryząca ciecz, która wywołuje przykry ból i przyczynia się do powstawania bąbli, objawu towarzyszącego oparzeniu.

Słimaki rzucają w siebie wapiennemi igiełkami, noszącemi nazwę „strzał miłosnych".



Pewien gatunek ogórków strzela... wodą, która zostaje z nich wyrzucona przez wewnętrzne ciśnienie.



Wybitnym „artylerzystą" jest „skójka malarska" — która wyrzuca z siebie strumień wody nieraz na odległość jednego metra.
Zdjęcia: Presse-Photo

Broń parząca nie jest wyłącznie monopolem pokrzyw: dotkliwie parzyć umieją również niektóre ze zwierząt. Hydry czyli stułbie słodkowodne, morskie ukwiały ze względu na swe piękne kształty i świetne barwy zwane „kwiatami morskimi", polipy koralowe i meduzy posiadają w swem ciele nieraz całe baterje parzydełek, stanowiących broń zaczepno-odporną. W ciele swem posiadają one specjalne komórki parzydełkowe. Każda z nich zawiera w sobie pęcherzyk z gryzącą cieczą oraz ostrą nitkę, zwiniętą spiralnie. Gdy przepływa jakaś zdobycz lub zbliża się nieprzyjaciel, parzydełka owe zaczynają działać niby harpuny. Zwinięta dotychczas spiralnie nitka rozpręża się nagle, wychodzi z komórki i uderza w ciało ofiary a równocześnie do zadanej rany wlewa się ostra i zabójcza ciecz. Pozornie niewinne zwierzęta w istocie mogą być bardzo groźne. Nawet dla człowieka, zażywającego kąpieli morskiej obecność parzących meduz nie jest przyjemna. Często, gdy nastąpi zbyt bezpośrednie zbliżenie, człowiek zostaje dotkliwie poparzony. Skóra jego zaczerwienia się silnie i nierzadko pokrywa bąblami, jakkolwiek została zaatakowana bronią, której gołem okiem nie można zauważyć.

Prócz „harpunników w świecie zwierzęcym nie brak również i „miotaczy bomb gazowych"! Zanim człowiek zaczął stosować w wojnie chmury lub bomby gazowe, zwierzęta znały ten sposób walki chemicznej o wiele wcześniej. Chrząszcz bombardjer broni się przed nieprzyjacielem nie tylko ucieczką, lecz równocześnie „zagazowuje" napastnika przez wydzielanie cieszy, która na powietrzu zamienia się w gęsty obłoczek. „Bomby gazowe" o ostrym zapachu wyrzuca chrząszcz tak długo, póki wreszcie nie schroni się gdzieś pod kamieniem, uratowany dzięki doskonałemu środkowi obrony.

Znane z powolności ślimaki, na wiosnę, w czasie godów weselnych, wbijają sobie wzajemnie w ciało ostre wapienne igiełki, zwane „strzałami miłosnemi", rozpalając w sobie wzajemne „uczucia".

I wśród roślin nie brak również „bombardjerów", którzy z wielką siłą, często na znaczną odległość wyrzucają nasiona, mające dać początek nowym osobnikom. — U niektórych roślin owoce eksplodują i nasiona wyrzucone pod ciśnieniem zostają odrzucone daleko od organizmu macierzystego. Śródziemnomorska roślina, nosząca nazwę tryskawca, a zwana również „oślim ogórkiem" z chwilą oderwania owocu od szypułki, wyrzuca z wielką siłą nasiona wraz ze strumieniem śluzowatego soku na odległość jednego metra. Eksplozja ta zostaje wywołana nagłą zmianą ciśnienia.

Podobna przyczyna wywołuje pękanie zarodni i wyrzucanie z wielką siłą drobniutkich zarodników, niby setki kartaczy, u maleńkiego grzybka „Philobolusa", należącego do pleśni.

Bogaty świat królestwa roślinnego i zwierzęcego posiada przedstawicieli, „noszących przy sobie" broń różnorodną i skuteczną, posiadającą dla nich w walce o życie pierwszorzędne znaczenie.

Z. M.

KĄCIK
FILATELISTYCZNY

I w Polsce zdarzył się po raz pierwszy po 20 latach „konflikt" pocztowo-filatelistyczny. Oto zmieniono z powodów narazie nieznanych nasz egzemplarz z serji historycznej za 15 groszy. Już od kilku tygodni, a może nawet paru miesięcy zniknął on bez uprzedniej zapowiedzi ze sprzedaży okienkowej i stał się narazie jednym z bardziej poszukiwanych przez spekulantów. Parę dni temu wreszcie ukazał się znowu w obiegu, ale w nieco zmienionej postaci, gdyż miecze krzyżackie i hełm z pióropuszem leżące u stóp Jadwigi i Jagiełły, zastąpiono tarczą herbową Polski, a z boku wśród innych ornamentów można z trudem zauważyć lilje andegaweńskie.



Najnowszy znaczek polski oraz dwa znaczki Rzeczypospolitej Libanu.

Trudno się spodziewać odpowiedzi na pytanie, kto spowodował zmianę znaczka, narazie tylko konstatujemy inny, tym razem dla nas miły fakt, że rzekomo antypolska gdańska serja historyczna zniknęła zupełnie z obiegu i jest absolutnie nieosiągalna nawet w sklepach ze znaczkami, gdzie została doszczętnie wykupiona.

Mamy więc całą małą „aferę polityczną": rzekomą zaczepkę, mocno złośliwy i dosadny odwet — i obustronną rejteradę, z której tylko ktoś trzeci skorzystał. Tym trzecim był napewno liczny zastęp zbieraczy, który kupuje odrazu nowości wydawane w ulubionych przez siebie krajach. Ile narazie warto płacić za polską 15-groszówkę (czystą) jak i serję gdańską, tego nie można ustalić co do grosza, natomiast trzechkrotnie wyższa stawka od wartości okienkowej wydaje się mniejwięcej uzasadnioną!

We Francji ukazał się na miejsce zielonego znaczka za 2,25 fr. z biustem Cerery nowy egzemplarz w kolorze ciemno-niebieskim. Kolor ten jest widocznie ulubionym nad Sekwaną, skoro wartość z alegorją pokoju za 90 cent. zmieniono również na ten sam odcień. Angielska serja z królem Jerzym VI urosła o nową wartość za 6 pensów.

W. H.

ZEBRANIE SEKCJI FILATELISTYCZNEJ Krakowskiego Klubu Towarzyskiego odbędzie się w poniedziałek 13 bm. od g. 19 do 22-ej we własnym lokalu przy ul. Felicjanek 6, I p. Goście mile widziani.



UŚMIECH WIOSNY

Ostatnie lody zimowe... przełamują drobne śnieżyczki...

Fot. Schostal — Wiedeń.

ŚWIAT ZŁUDZEŃ

HALINA KONDECKA — N·O·W·E·L·A

— Znów się pani pomyliła!

Karolina podniosła przerażone oczy z nad maszyny.

— Przepraszam, panie dyrektorze.

— Zdarza się to ostatnio pani coraz częściej. Jak można tak bezmyślnie pracować.

Dyrektor obrzucił niechętnem spojrzeniem szczupłą postać urzędniczki — nie lubił jej. Nikt nie lubił Karoliny. Od chwili objęcia posady wniosła ze sobą atmosferę smutku i ponurego milczenia. Nie wiedziano o niej nic oprócz tego, że mieszka sama i unika wszelkich znajomości.

Karolina bała się ludzi i stroniła od nich. Czasami jakieś słowo, dźwięk, spojrzenie budziły uśpione echa przeszłości tak pracowicie i mozolnie usuwane z pamięci. Czuła zawiść i ból na widok szczęścia innych — zwalczała to w sobie — nadaremnie.

Żyła tak zupełnie samotna bez planów, marzeń i buntów — obca, niepotrzebna nikomu, nawet samej sobie.

Wstawała rano, szła do pracy i znów liczyła z ulgą, że dzień przeszedł.

Często nie mogła sypiać i wtedy w obawie przed zmorami przeszłości chwytała za pióro i pisała o jakichś ludziach, zdarzeniach.

Sposób okazał się skuteczny. Myśl skierowana została na inne drogi, a samotność Karoliny poczęła się wypełniać światem złudzeń.

Zwolna urojone postacie coraz ściślej współżyły z Karoliną. Uciekała do nich, jak do swoich, najbliższych. Cóż stąd, że wielu z nich było ludźmi bez znaczenia i wartości, gdy czasem z bruljonowych za pisków uśmiechnęła się do niej jakaś dobra, przyjazna twarz.

Cierpiała, gdy jakąś szlachetną jednostkę skazywała na zagładę, a sprzedajną i brutalną wywyższała. Nic jednak nie mogła na to poradzić. Tak a nie inaczej musiała pisać — było to silniejsze od niej.

I oto w świecie stworzonym przez siebie, świecie urojonym, prawdziwszym jednak dla niej od rzeczywistego poznała człowieka, którego pokochała.

Był to jedyny mężczyzna, który potrafił przełamać lodową powłokę Karoliny, dla niego jednego miała uśmiech pełen tkliwości.

Po raz pierwszy w życiu uśmiechnęło się do Karoliny szczęście. Odnalazła je w jego mądrych oczach — odczuła w swojem własnem, bijącem mocno sercu.

I tak zaczęła się ich miłość.

Któregoś smutnego jesiennego wieczora siedzieli we dwoje, pełni ciszy i zadumy. Ramię mężczyzny objęło opiekuńczym ruchem drobną postać Karoliny.

— Opowiedz mi coś o sobie — prosi.

I Karolina, skryta, milcząca Karolina opowiada:

Matki nie znała — umarła przy jej urodzeniu — nie odczuwała jednak jej braku, chowana w zbytku i dobrobycie, rozpieszczana przez wychowawczynie i ojca.

Ojciec! — Karolina czuje, wypowiadając to słowo, że w jej biednej głowie znów panuje chaos i rozpacz — ojciec! Nie widzi już przy sobie tamtego człowieka — jest sama.

Karolina płacze — samotna, zagubiona wśród ciemności i lęku.

* * *

— Czemuś odszedł ode mnie, gdy tak bardzo cię potrzebowałam? — mówi Karolina.

Oczy jego pełne były smutku.

— Tyś sama odtrąciła mnie. Zrozumiałem, że nie potrafisz jeszcze żyć wyłącznie w naszym świecie i uznać go za ważniejszy.

— Tak — mówi Karolina — to prawda. Czy możesz mi przebaczyć?

Uśmiechnął się do niej.

— Wiesz dobrze, że tak, ale teraz musisz opowiedzieć mi wszystko, musisz raz zrzucić z siebie ten ciężar, aby zacząć żyć na nowo.

— Mój ojciec — zaczyna Karolina z wysiłkiem — mój ojciec popełnił samobójstwo po zdefraudowaniu cudzych pieniędzy.

Karolina odetchnęła głęgoko.

— Kochałam go tak bardzo.

Smutne, dobre oczy patrzą na Karolinę ze współczuciem i żalem: a więc nie odszedł od niej, jest silniejszym i rzeczywistszym od cieni przeszłości.

Karolina opiera głowę na jego ramieniu — wszystko zatem jest prawdą. Senne powieki opadają na oczy — jest szczęśliwa.

* * *

W biurze przy przepisywaniu Karolina myliła się teraz coraz częściej, aż dyrektor zrobił jej ostrą uwagę.

Zaraz po pracy wracała do domu i nie wychodziła już prawie wcale — zdziwaczała do reszty, jak mówiły o niej koleżanki — niewiele ją to jednak obchodziło.

Oto Karolina wyruszyła z kochanym człowiekiem w wymarzoną od dzieciństwa podróż. Pociągnęły ich swym czarem i tajemnicą dalekie Indje.

Któregoś dnia wymówiono jej posadę — w gruncie rzeczy było jej to obojętne, musiała jednak pomyśleć o tem, co ją czeka.

Wtedy zdjął ją lęk. Nie może przecież przerwać swej podróży, gdy właśnie spojrzała po raz pierwszy w kamienne, tajemnicze i straszne oczy Buddy. Zebrała resztki dziwnie wymykającej się świadomości i próbowała myśleć kategorjami ludzi nie z jej świata.

— A gdyby tak oddać do druku swoje utwory?

Ale na tę myśl czuła taki ból, jakby miała wywlec na pokaz i szyderstwo siebie i swoich najbliższych.

Nie widziała jednak innego wyjścia.

Odkładała tę chwilę z dnia na dzień. Czuła się zresztą bardzo źle — miewała jakieś zawroty głowy, omdlenia.

Wreszcie któregoś dnia zebrała swoje prace i przesłała je do redakcji jednego z najpoważniejszych pism.

Godzinami teraz rozmawiała z ludźmi, stworzonymi przez siebie, przepraszała ich, tłumaczyła się, płakała.

Wreszcie odpowiedź nadeszła.

Pisał w grzecznych, zimnych słowach sekretarz redakcji, że nie skorzystają z jej prac — ludzie w nich są zbyt nieprawdziwi.

Karolina czytała list jak we śnie, tak bardzo uderzyło ją i pochłonęło słowo „nieprawdziwi".

Słowo to wżerało się w mózg, dźwięczało coraz mocniej, wyraźniej.

Zwolna do jej świadomości poczęła przenikać myśl, że cały ten jej świat był tylko nędzną, śmieszną namiastką życia. I ci ludzie przecież, których wyciągnęła z nicości i kazała żyć, oszukali ją. Byli nieprawdziwi.

A więc i tamten...

Zdawało się Karolinie, że otaczają ją jakieś posępne ciemności, z których niema wyjścia, ani ucieczki — oparła głowę na rękach.

Ale nagle z mroków pokoju wyłoniła się przed nią znana postać.

— Znów zwątpiłaś o mnie — rzekł cicho.

Oczy Karoliny były pełne łez.

— Nie odchodź ode mnie — prosiła. Jestem tak nieszczęśliwa.

Skinął głową.

— Będziemy już teraz zawsze razem — chodź ze mną.

Karolina podniosła się i poszli gdzieś przed siebie. Zdawało się jej, że mija jakichś ludzi, patrzących na nią ze zdziwieniem i przerażeniem, ale jej to nic nie obchodziło — szła za swym przewodnikiem cicha i szczęśliwa.

* * *

Któregoś dnia redaktor jednego z dzienników począł przeglądać odrzucone prace debjutantów.

Wziął pierwszy rękopis z brzegu i począł czytać. Zwolna twarz jego stawała się coraz bardziej poważna i skupiona. Czytał coraz uważniej, jakby dziwiąc się czemuś, zastanawiając, wreszcie zawołał swego sekretarza.

— Kto to pisał? — zapytał.

— A, jakaś gęś — odpowiedział niedbale zapytany. Mało to ich przesyła swoje bzdury.

Twarz redaktora poczerwieniała.

— Czy pan to czytał? — wrzasnął.

— Ja, ja, właściwie — jąkał się młody człowiek.

— Właściwie... właściwie nie — mówił siny już ze złości redaktor, to są przecież świetne rzeczy! Ci ludzie są wspaniale ujęci, wprost niesamowicie. Sprowadź mi pan zaraz tę autorkę.

W jakiś czas potem przed domem, gdzie mieszkała Karolina, zatrzymało się auto i wysiadł z niego jakiś mężczyzna.

Dozorczyni podeszła, obrzucając go pytającem spojrzeniem.

— Czy zastałem pannę Bogucką? — zapytał. — Muszę z nią jaknajprędzej pomówić w ważnej sprawie.

— To pan nic nie wie? — zdziwiła się babina.

— Co takiego?

— A to będzie już kawał czasu, jak ją odwieźli do warjatów. — Ja zawsze mówiłam, że z nią jest coś nie w porządku. Słyszane rzeczy, żeby dziewczyna żyła tak sama, gadała do siebie niby do innych ludzi — widziałam przecież nieraz. Ale szkoda jej — młoda była, ładna, mogłaby przecież żyć, jak inni ludzie.

Historyczna noc

HELENA MYSŁAKOWSKA

SZKIC

W ciepłą, chociaż pochmurną i mglistą noc z 19-go na 20-go czerwca 1837 r. spokojni mieszkańcy dystyngowanego przedmieścia londyńskiego, Kensington, gdzie mieściły się pałacyki i prywatne rezydencje arystokracji i bogatego mieszczaństwa, zbudzili się na odgłos głuchego turkotu kół pędzącej w ciemności karocy, która grzęznąc w błocie i chybotając się z boku na bok, z trudem torowała sobie drogę wśród wąskich uliczek i zaułków.

Dwaj sędziwi panowie, siedzący w głębi karocy, — a byli to najdostojniejszy prymas Anglji, arcybiskup z Canterbury oraz niemniej dostojny szambelan dworu królewskiego, Lord Connyngham, — obaj rozespani, i snać wielce zaaferowani, jechali w milczeniu, podskakując od czasu do czasu na aksamitnych poduszkach, w miarę jak karoca, nie bacząc na dostojeństwo swoich pasażerów, chybotała się bez respektu na wyboistej drodze.

Pierwszy przerwał milczenie prymas Anglji: „Ciekaw jestem, jak Jej Królewska Mość przyjmie wiadomość o śmierci swego najjaśniejszego Wuja" — rzekł wolno, z odcieniem zatroskania w głosie.

Lord Szambelan chrząknął znacząco.

„Tak, zapewne, pora nie bardzo jest odpowiednia na składanie wizyt młodym damom — zauważył, jakby się usprawiedliwiając. — Ale cóż robić, nie możemy przecież czekać z wiadomością do południa. Zresztą, o królowę mniejsza: młoda dziewczyna nie przywiązuje może jeszcze tak dużej wagi do ceremonjału. Ale co powie księżna Matka?"

Pytanie to, rzucone z wielkiem zaniepokojeniem w ciemną noc, zbiło z tropu arcybiskupa, który uznał wszakże, że będzie bezpieczniej pozostawić je bez odpowiedzi. Dlatego też zadowolnił się nakreśleniem ręką w powietrzu jakiegoś bliżej nieesprecyzowanego znaku i zapadł w milczenie.

Powoli zaczęło świtać. W szaro-liljowem świetle czerwcowego brzasku zarysował się nagle z daleka, przy końcu drogi, którą mknęła karoca, duży, czworograniasty pałac z czerwonej cegły, o biało obramowanych oknach, skromny, cichy, i drzemiący spokojnie w gąszczu drzew i niskich, egzotycznych krzaków, które zasłaniały go niemal w zupełności. Był to pałac Kensingtoński, żartobliwie przez ludność londyńską przezwany „pałacem starych ciotek", a to dlatego, że służył on od niepamiętnych czasów za redydencję różnych ciotek, babek i kuzynek królewskich, które nie mając własnych rodzin czy własnego ogniska, w kentingtońskim pałacu wiodły nudny, dostojny, melancholijny, ale godny ich stanu żywot. Obecnie zaś w pałacu tym mieszkała najmłodsza bratowa króla Wilhelma IV-go, chciwa, ambitna i wielce despotyczna księżna Kentu, urodzona księżniczka sasko-koburska, wraz ze swą ośmnastoletnią córką, Alexandryną Wiktorją, dziedziczką i następczynią tronu W. Brytanji, Szkocji i Irlandji.

Kiedy karoca, skręciwszy ostro w bramę aleją parku, który widocznie nie bywał zamykany na noc — zajechała przed żelazną bramę pałacu, ozdobioną ogromnemi, złoconemi inicjałami królewskiemi: „W. R. IV." oraz koroną, „Big Ben" — stojący obok Westminsteru na straży wielkości Anglji — wybijał właśnie godzinę piątą. Stangret, w biało-złotej dworskiej liberji, z „harzopfem" i pierogiem, wystrzelił parę razy z bata, chcąc widocznie w ten sposób zbudzić portjera, śpiącego kamiennym snem w malutkim, białym, dzikiem winem obrośniętym domku obok bramy; kiedy to jednak nie odniosło skutku, a dostojni panowie, siedzący w głębi karocy, zaczęli głośno wyrażać swoje zniecierpliwienie, rzucił lejce siedzącemu obok lokajowi, a sam zeskoczywszy z wysokiego kozła, pobiegł do okna, i bębniąc pięścią w drewniane okiennice, krzyknął donośnym głosem: „Hej tam! Otwierać! Ich lordowskie moście muszą natychmiast zobaczyć się z Jej Królewską Wysokością!" Mimo tego wołania szarawo zielone okiennice rozchyliły się dopiero po dobrej chwili, a z poza nich wyjrzała siwa, rozczochrana głowa starego człowieka: „Czego tam? Od kogo? Niebo się wali, czy co?" — mruknął gniewnie, widząc jednak przed sobą stangreta w dworskiej liberji, zmitygował się odrazu i drepcząc do drzwi, odsunął żelazny rygiel i podszedł do karocy. Zanim jednak zdążył wypowiedzieć słowo, lord Connyngham, wychylając głowę przez spuszczone okno, zawołał niecierpliwie: „Prędzej — nie marudź mój dobry człowieku! Otwieraj bramę! Przynosimy ważną nowinę dla Jej Królewskiej Wysokości!"

Portjer osłupiał. O tej porze budzić księżniczkę?! Stał, bezradnie założywszy ręce, nie wiedząc co począć. Tymczasem kamerdyner, nie czekając dalszych rozkazów, opuścił szybko niskie stopnie karocy, a po chwili już Jego dostojność ks. arcybiskup z Canterbury, a za nim lord Connyngham, zeszli uroczyście na ziemię i stanęli przy bramie. Na ich widok portjer, który teraz dopiero poznał, kogo ma przed sobą, skłonił się bardzo nisko.

„Wasza Dostojność..." — zaczął.

„Mój dobry człowieku — przerwał mu arcybiskup wyniośle — sprawa jest niezmiernie pilna. Idź w tej chwili do Jej Królewskiej Wysokości, księżniczki Wiktorji, i zamelduj jej nasze przybycie. Musimy bezzwłocznie z nią się zobaczyć!"

„Ależ, Wasza Dostojność! — oburzył się stary — to zgoła niemożliwe! Piąta godzina! Gdzieżbym też śmiał o takiej porze zbudzić naszą księżniczkę! Sama księżna matka nie przyjmuje nikogo przed godziną 10-tą rano, a cóż dopiero księżniczka! Nie — w żaden sposób nie ośmielę się jej zbudzić!"

„Jeżeli się nie ruszysz, stary niedołęgo — krzyknął z irytacją lord Connyngham — to zmusisz nas do przełamania gwałtem twojego oporu! Ale pożałujesz tego! Dlatego rozkazuję ci po raz ostatni: leć w te pędy do księżniczki i zamelduj jej, że arcybiskup z Canterbury oraz lord Szambelan dworu proszą najpokorniej o natychmiastową audjencję! Sprawa jest niezmiernie ważna!"

Stary portjer podniósł oczy ku niebu, jakby chciał wziąć je na świadka, że nie jest winien temu niesłychanemu pogwałceniu etykiety, potem wzruszył ramionami, westchnął głęboko i chwiejnym krokiem podreptał naprzód. W ślad za nim podążyli ich lordowskie moście. Wszedłszy do pałacu, zatrzymali się w obszernym, pustym, dość zaniedbanym hallu na parterze, portjer zaś, wciąż kręcąc głową i mrucząc coś do siebie pod nosem, poszedł szerokiemi, dębowemi schodami na pierwsze piętro, i zapukał do wąskich, biało lakierowanych drzwi, wiodących do pokoju baronówny Lehzen, ochmistrzyni, guwernantki i najzaufańszej powiernicy młodziutkiej księżniczki „Driny".

Długo jednak pukał i stukał w biało lakierowane drzwi, zanim się wreszcie otwarły, i wysoka, chuda, lat około pięćdziesięciu kobieta, o surowym wyrazie twarzy i siwych gładko na skronie rozczesanych włosach, stanęła w progu. Na długą, blado niebieską koszulę nocną zarzuciła w pośpiechu fioletową salopkę, a zobaczywszy portjera, zmarszczyła gniewnie brwi. Ten jednak nie dał jej nawet przyjść do słowa, lecz wyrecytował szybko, przyciszonym głosem:

„Proszę łaski panienki zbudzić natychmiast naszą księżniczkę. Przyjechali ich dostojności i czekają na dole. Zdaje mi się, że z najjaśniejszym Panem jest bardzo źle. Proszą, żeby Jej Królewska Wysokość raczyła natychmiast zejść na dół. Sprawa jest bardzo pilna".

Baronówna Lehzen zatrzepotała się jak spłoszony ptak, podniosła wysoko ważkie, przyczernione brwi, potrząsnęła parę razy głową, jakby nie dowierzając dopiero co usłyszanej nowinie, wreszcie, obróciwszy się szybko na pięcie, pobiegła pędem długą oszkloną galerją, przy końcu której znajdowała się obszerna, jasna, zapchana fatałaszkami i zbędnemi drobiazgami sypialnia księżnej Kentu, która od lat osiemnastu dzieliła nieprzerwanie pokój ten ze swoją córką, chcąc w ten sposób, i w dzień i w nocy mieć ją u swego boku i czuwać nad każdym jej krokiem.

Panowie, czekający w hallu, nie taili swego zniecierpliwienia. Przez uchylone okno, przez które wpadały teraz chłodne promienie porannego słońca, doleciał ich z oddali gruby głos „Big Ben'a", wydzwaniający godzinę szóstą.

„Do djabła z temi kobietami! — zaklął zgoła niedostojnie lord Connyngham — całą godzinę zmarnowaliśmy na niczem! Gdzie tylko kobieta wchodzi w grę, można się założyć, że nic nie będzie załatwione na czasie! Mizdrzą się i certują i naradzają przez godzinę, a nie mogą zrozumieć, że sprawy państwa nie powinny czekać!"

Przerwał jednak swoje wituperacje, arcybiskup bowiem, położywszy dyskretnie palec na ustach, i wznosząc wzrok ku galerji, dał znak swemu towarzyszowi. Istotnie, z galerji, biegnącej wzdłuż prawej ściany hallu, doleciał ich szelest jedwabiu, i odgłos drobnych, przyśpieszonych kroków, a w chwilę później, na zakręcie schodów, ukazała się smukła, drobna postać młodej dziewczyny w długiej białej koszuli, na którą zarzucony był w pośpiechu różowy muślinowy szlafrok. Bose jej stopy kryły się wstydliwie w różowych atłasowych pantofelkach rannych, a jej długie, złoto blond włosy, miękkie i puszyste spadały wolno na jej ramiona. Właściwie nie była ładna, — chociaż jej regularne rysy nie były pozbawione pewnej pikanterji, jej duże, nieco wypukłe jasno-szafirowe oczy pełne były dobroci i łagodnej zadumy, jej krótka, górna warga, odsłaniająca może niepotrzebnie, w uśmiechu całe górne dziąsła, świadczyła o pewnej hardości i uporze, zaś różowa, delikatna, nienagannej świeżości cera, złoto-rudawy kolor włosów, zręczne ruchy i śliczna modulacja głębokiego, prawie altowego głosu — wszystko to razem składało się na doskonale sharmonizowaną pełną uroku całość.

Na widok ich dostojności zawahała się chwilę, jakby zakłopotana, że przyjmuje ich w tak bezceremonjalnym stroju, ale opanowała się natychmiast, i wyprostowa-

na, spokojna, pełnym godności krokiem zeszła na dół. Nie mówiąc słowa, prymas Anglji i Szambelan dworu przyklękli na jej widok na jedno kolano, a lord Connyngham, ujmując jej drobną, pulchną rękę i całując ją ze czcią głęboką, rzekł cichym wzruszonym głosem:

„Najjaśniejsza Pani, najmiłościwszy pan nasz i król Wilhelm IV-ty, dziś po północy zakończył swój żywot. Teraz więc Ty jesteś naszą panią i królową. Pozwól, że wespół z Jego Dostojnością Prymasem Anglji, złożymy ci hołd, błagając jednocześnie Boga Wszechmogącego o błogosławieństwo dla Ciebie i dla całego naszego narodu".

Jasnobłękitne, nieco wypukłe oczy młodziutkiej królowej napełniły się łzami.

„Biedny, drogi mój wuj! Biedny król! Głęboko nad śmiercią jego boleję! A królowa — czy mężnie zniosła ten cios? Tak bardzo go kochała! Co pocznie teraz bez niego? Będę chyba musiała zaraz do niej pojechać, aby ją pocieszyć!"

Łzy spływały teraz strumieniem po jej bladej, skupionej twarzyczce; widać było, że wieść o śmierci wuja, którego szczerze kochała, bardziej ją wzruszyła, niż wiadomość że sama została królową. Podeszła do okna, odsunęła ciężką adamaszkową portjerę i przez chwilę stała tak w milczeniu, zapatrzona w dal. Z parku dolatywał ją świegot ptasząt, ukrytych gdzieś w gąszczu liści, i słodkawa woń jaśminu, rosnącego na klombie pod oknem. Młode promienie porannego słońca otuliły gorącym uściskiem jej drobną dziewczęcą postać, jej delikatnie pod szlafrokiem zarysowane piersi, ramiona, — i jasne pukle jej włosów, tworząc dokoła jej głowy niby złotą aureolę. Prymas Anglji i szambelan cofnęli się cichutko w głąb pokoju, nie śmiąc przerwać milczenia. Nagle królowa, już zupełnie opanowana, odwróciła się od okna, i podchodząc do lorda Connyngham, rzekła mocnym, zdecydowanym głosem: „Mylordzie Szambelanie, proszę, abyś oznajmił memu Dworowi oraz moim ministrom, że dziś, na godz. 11-ą przed południem, zwołuję Tajną Radę Gabinetową i proszę, aby stawić się zechcieli moi obydwaj wujowie, Ich Król. Wysokości książęta Cumberland i Essex, ich lordowskie moście, moi ministrowie, a także księża biskupi i panowie generałowie. Przedewszystkiem zaś pragnęłabym ujrzeć wśród nich Jego Dostojność, wielce nam miłego księcia Wellingtona, ale tylko w tym wypadku, jeśli sam zauważy dokładnie, czy przez wzgląd na swój podeszły wiek może bez większego zmęczenia wziąć udział w naszej Radzie".

Mówiła spokojnie, miarowo, z wielką pewnością siebie, i tylko leciutkie drżenie głosu świadczyło, że jest wzruszona. Już podała rękę prymasowi, chcąc go pożegnać, kiedy raptem, jakby teraz dopiero przypomniała sobie coś bardzo ważnego, zwróciła się raz jeszcze do lorda szambelana:

„Mylordzie szambelanie — rzekła, a na jej pełnych, nieco upartych ustach zarysował się lekki, ledwie dostrzegalny uśmieszek, o jedną jeszcze rzecz zapomniałam Was prosić: abyście bezzwłocznie wydali polecenie usunięcia z pokoju mojej czcigodnej matki, księżnej Kentu, mojego łóżka. Dzisiejszą noc bowiem życzę sobie spędzić już we własnej osobnej sypialni, jak przystoi na prawdziwą królowę!"

I, jakby przestraszona tym pierwszym rozkazem, wydanym bez pozwolenia matki, — która do tej pory każdy objaw samodzielnej woli swojej córki tak bezwzględnie łamała, — podała pośpiesznie szambelanowi rękę do pocałunku i odwróciwszy się szybko, pędem prawie wbiegła po schodach na oszkloną galerję, i znikła za wąskiemi, biało lakierowanemi drzwiami, które otworzyła bez zapukania, i już na progu rzuciła się — w poczuciu bezgranicznego szczęścia, radości i dumy w otwarte ramiona baronówny Lehzen, — tej najukochańszej, najwierniejszej i najzaufańszej powiernicy i przyjaciółki — która, szlochając głośno, macierzyńskim ruchem przycisnęła do swego serca drżącą ze wzruszenia, jasnowłosą dziewczynę, która od tej chwili przez sześćdziesiąt lat zgórą miała sprawować rządy nad najpotężniejszem imperjum świata, i stała się, obok Elżbiety, największą angielską monarchinią.



1: Sita do oczyszczania ziarna kakaowego.

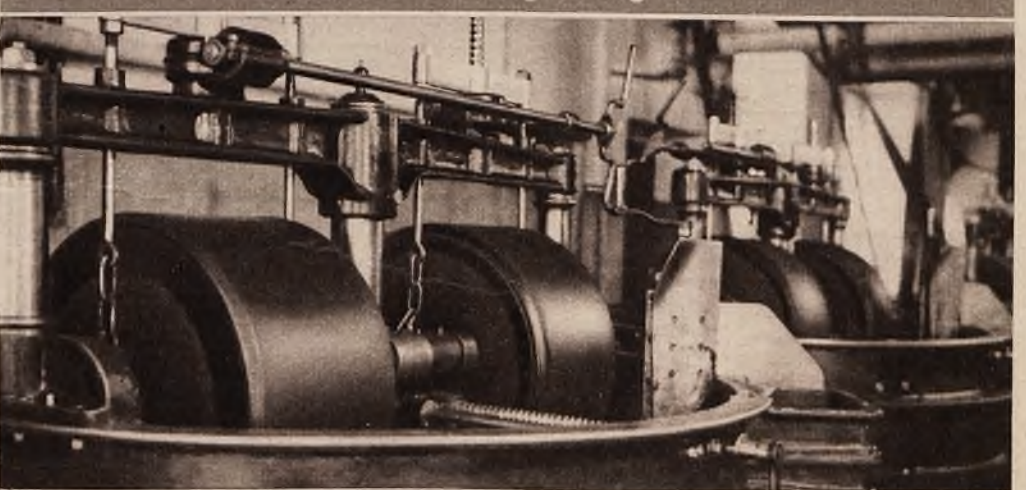
2: Przy piecu do palenia ziarna kakaowego.

TAM, GDZIE RODZĄ SIĘ SŁODYCZE...

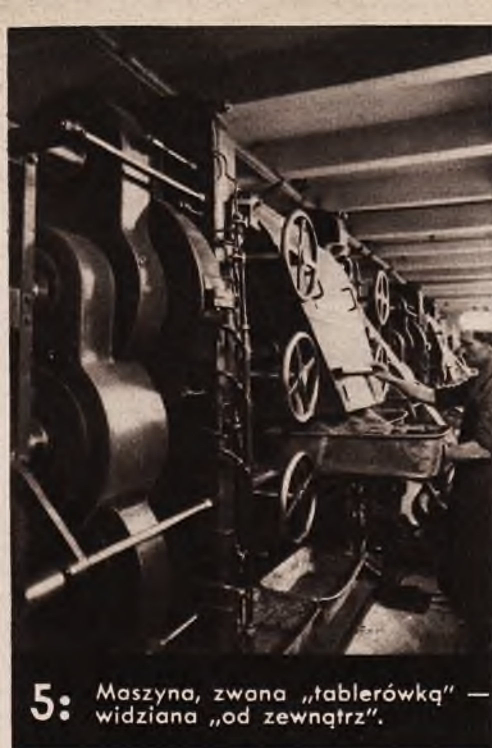
Biorąc czekoladkę lub karmelek do ręki — najczęściej nie zastanawiamy się nad tem, „jak się to robi?". Z przyjemnością chrupiemy doskonały karmelek lub czekoladkę mleczną czy gorzkawą — i ani nam w głowie, wiele to procesów technicznych złożyło się na powstanie tych słodyczy, które gotowe, owinięte w lśniącą staniolę, lub kolorową etykietkę, wabią nasze oczy z wystaw cukierniczych sklepów.

Podstawowym surowcem przy produkcji czekolady jest ziarno kakaowe — tak, jak znowu dla wyrobu karmelków cukier. Jak wiemy, ziarno to rośnie w krajach tropikalnych: w Połd. Ameryce, Afryce i Azji, skąd je dopiero sprowadzamy. Ale pomińmy całą tę część „egzotyczną" z kolorowymi robotnikami i plantacjami krzewów kakaowych, a zajmijmy się wyłącznie przerobem ziarna w fabrykach krajowych. — Wejdźmy więc do jednej z większych fabryk czekolady i cukrów i zapoznajmy się bodaj pobieżnie z ową słodką „alchemią".

W suchych i przewiewnych składach piętrzą się aż po powałę worki z surowem ziarnem kakaowem — od tanich aż do najszlachetniejszych, drogich gatunków, o nazwach, nasuwających na myśl dalekie i dziwne kraje. Atletycznie zbudowani mężczyźni w szafirowych roboczych ubraniach, ładują worki na dwukołowe żelazne wózki i odstawiają je do „palarni". Tam ziarno dostaje się najpierw do maszyn, które oczyszczają je z drobnych kamyczków, pyłu i t. p. ciał obcych, poczem przechodzi ono do olbrzymiego pieca, gdzie w t. zw. kotle surowe ziarno upala się w mniej lub więcej podobny sposób, jak kawę. Tak upalone — idzie ono zkolei do maszyn, które oczyszczają je z łusek i łamią poszczególne ziarenka na cząstki. Następnie wędruje do hali, gdzie znajdują się okrągłe maszyny, podobne z wyglądu trochę do kadzi, t. zw. „melanżery", które wśród jednostajnego huku motorów elektrycznych i zawrotnej szybkości pędzących na stalowych kołach pasów transmisyjnych — przerabiają ziarno na masę z dodatkiem cukru, masła kakaowego, mleka lub śmietany i t. p. — Silnie skondensowany zapach rozprażonej masy czekoladowej wraz z wysoką temperaturą, panującą w olbrzymiej hali, przyprawia niemal o zawrót głowy. Krupkowata masa czekoladowa z melanżerów przechodzi następnie na „walcówki", które ją przecierają i wygładzają. Masę tę wstawia się potem w głębokich dużych blokach do t. zw. „pieca" i poddaje działaniu temperatury do 75⁰. Stąd dopiero bierze się masę czekoladową do oddziału innych maszyn t. zw. „table-



3: Przerabianie czekolady w „melanżerach".



5: Maszyna, zwana „tablerówką" — widziana „od zewnątrz".

rówek", posiadających granitowe lub stalowe walce, które ją jeszcze dokładniej rozrabiają czyli, jak się to mówi, „uszlachetniają". Dlatego to dobry gatunek czekolady, wzięty w usta, rozpływa się na języku. Po odpowiednim czasie tablerowania masy, czekolada jest gotowa do wyrobu tabliczek, czekoladek nadziewanych i t. p. słodkich specjałów. W oddziele „formowni", gdzie się odbywa właściwy proces wyrobu tabliczek — panuje wszechwładnie maszyna, zwana „klepaczką", trzęsąca się i „podrygująca" wśród ogłuszającego huku — ale opowiadajmy pokolei: Otóż foremki zostają wypełnione automatycznie płynną czekoladą w maszynach-odlewarkach lub przez maszynę, nazywającą się... „rewolwerem" — która rzeczywiście „wystrzela" odpowiednią ilością czekolady do foremek, biegnących na pasie transportowym. Ilość spływającej do foremek czekolady można wyregulować dokładnie na gramy tak, że każda tabliczka waży dokładnie np. 100 gr. Tak napełnione foremki biegną na pasie na ową, wyżej wspomnianą „klepaczkę", długą i dużą maszynę, która trzęsie się cała, podskakuje i drga konwulsyjnie, jakby się za chwilę miała rozpaść w kawałki. Jednak nie rozpada się, a trzęsie się poto, by masa, jaką są napełnione foremki, stała się zwarta i jednolita bez jakichkolwiek t. zw. banieczek powietrznych. Potem foremki przechodzą przez chłodnię, gdzie pod wpływem odpowiednio niskiej temperatury masa odrazu krzepnie i twardnieje. Wkońcu gotowe tabliczki wybija się z forem i w drewnianych „kastach" dostają się one na wózkach lub dźwigiem do oddziału zawijalni. Tam precyzyjne maszyny, obsługiwane przez robotnice — zawijają szybko, czysto i dokładnie każdą czekoladkę czy tabliczkę w staniolę, etykietę lub celofan, zakładając niby najzgrabniejszymi palcami rogi stanioli oraz sklejając automatycznie i niezawodnie etykietę.

Owinięte i zaetykietowane słodycze układają robotnice w kartonowych pudełkach i zsyłają gotowy już towar do magazynów.

Również bardzo ciekawy jest oddział, gdzie wyrabiają różne specjały, jak czekoladki deserowe, luksusowe, pomadki i niezliczoną ilość odmian czekoladek, nadziewanych kremami, konfiturami, masami i t. p. Wspomnę tu choćby tylko o wyrobie czekoladek, napełnianych likworami. Na dużych stołach stoją drewniane kasty, wypełnione mięszaniną mączki pszennej, kartoflanej i ryżowej czyli t. zw. po cukierniczemu „pudrem". W pudrze tym wygniata się zapomocą gipsowych foremek odpowiednie wgłębienia, do których wlewa się przygotowany już likwor i tak się pozostawia przez pewien określony czas w odpowiedniej temperaturze, póki cukier, znajdujący się w likworze, nie skrystalizuje się z wierzchu, tworząc skorupkę, która zamyka i otacza płyn z alkoholem. Skorupki te zostają potem „obciągnięte" czekoladą na maszynach, zwanych „obciągarkami": mianowicie skorupki czy też pomadki umieszcza się na specjalnych siatkach, które przesuwają je przez rodzaj ma-



6: Maszyna do zawijania czekoladek



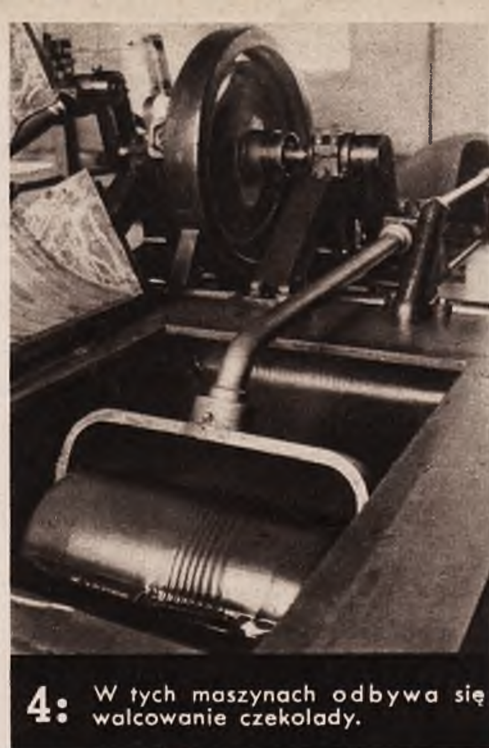
7: Walce do formowania karmelków.



8: Maszyna do wyrobu t. zw. pomadek



9: Przygotowania „węża karmelowego".



4: W tych maszynach odbywa się walcowanie czekolady.

łego wodospadu z płynnej czekolady: temperatura tej czekolady reguluje grubość obciągnięcia.

Wiele interesujących działów pominęliśmy z powodu szczupłości miejsca, możnaby było bowiem napisać jeszcze wiele o przeróżnych szczegółach fabrykacji słodyczy. Zakończę zatem krótkim opisem wyrobu karmelków, jednego z ważniejszych działów tej fabrykacji.

Oddział karmelarni jest bardzo podobny do laboratorjum chemicznego: wszędzie mnóstwo jakichś tygli i błyszczących cociołków, w których się warzy karmel i inne dziwne a mile pachnące ingredjencje...

Czeladnik w białych rękawicach bierze ciepły i podatny jak ciasto karmel, błyszczący jak politura, kraje na długie wstęgi o grubości mniejwięcej palca, poczem robotnica bierze je i wkłada do maszyny, posiadającej metalowe walce z wydrążonemi na ich powierzchni foremkami w kształcie drobnych listków, gwiazdek i t. p. i w następnej chwili z drugiej strony maszyny wychodzi wstęga z wygniecionymi w różny kształt karmelkami, które są narazie zczepione z sobą cieniutką warstewką karmelu. Po wystygnięciu i stwardnieniu karmelków, warstewka ta kruszy się, odpada dookoła i mamy gotowe cukierki z gatunku t. zw. pełnych, nie nadziewanych. Wesoło jest w karmelarni i tęczowo od różno-kolorowego, wyciągniętego w długie „gąsienice" karmelu. Tu piękna czerwień — będą to malinowe cukierki, to znowu szmaragdowa zieleń albo piękny złotawo-żółty lub śnieżno-biały kolor „karmelowego węża"...

A teraz wyrób nadziewanych cukierków: z karmelu robi się jakby dużą torbę, którą napełnia się masą — marmoladką lub jakąkolwiek inną nadzianką i szczelnie zalepia się brzegi tej torby, zgniatając je dokładnie; potem okłada się ową „torbę" innym kolorowym karmelem i cały w ten sposób zlepiony wałek wyciąga się na gorącej płycie, mniejwięcej na grubość palca, poczem wkłada się go do maszyny, która formuje karmelki, zgniatając przytem oba końce każdego cukierka i zlepiając je tak, aby nadzianka pozostała wewnątrz.

Gotowe karmelki tak nadziewane, jak i pełne, pakuje się do puszek, o ile nie mają być zawinięte w papier woskowany lub celofan, poczem z pakowni w odpowiednich skrzynkach wędrują one na miasto lub koleją, która rozwozi je po całym świecie ku wielkiej uciesze wszystkich małych grzecznych i licznych ...mniej grzecznych „starszych" dzieci naszej Ziemi. J.



CZARNA ORCHIDEA

Gdy czarna orchidea roztacza swój urok,
poezja wtedy pokój napełnia i flakon
jak wyzwanie rzucone szarym życia murom,
jak pęd wzwyż chmurom białym odjęty i ptakom.

Jaką poezją zamiast kielichów orchidej
darzy piękno kobiety... Lecz wyrasta smutek,
że u stóp jej, na męce połamanych skrzydeł
tyle uczuć powiędłych jak motyle strute!...

WIT.



100 ojców „Lambeth-Walk'a"

Snobizm ludzki nie ma granic — podobnie, jak bezgraniczną jest ludzka głupota. Przekonujemy się o tem, gdy dociekając przyczyn powstawania w naszem życiu dziwnych zjawisk, odnajdujemy je najczęściej w tych właśnie ułomnościach i wadach naszego charakteru.

Dziwnem zaiste zjawiskiem jest szał tańczenia t. zw. „Lambeth-Walk'a" przez młodych i starych, przez ludzi z gminu i z high-life'u, wszystkich ras i narodowości. Jeszcze przed rokiem mało kto wiedział o istnieniu tego tańca. Dziś niema chyba takiego człowieka pod żadną szerokością geograficzną.

W ciągu ostatnich 20 lat obserwowaliśmy niejednokrotnie powstawanie epidemij tanecznych. Nigdy jednak nie przybierały one tak ogólnego oblicza w znaczeniu społecznem i światowem. Taki „One-step", a po nim „Charleston" i „Shimmy" w pierwszych swych edycjach były tańczone tylko przez specjalnie uzdolnionych pionierów nowoczesnych łamańców. Ogół krytykował lub czasem podziwiał te ryzykowne ewolucje taneczne domagając się uproszczenia, a przez to udostępnienia ich formy ludziom przeciętnym, dla których taniec w dancingu miał być tylko rozrywką, a nie sztuką na pokaz. W ten sposób wszystkie te cudactwa powojennej atmosfery dancingowej ulegały dalekoidącej ewolucji, tracąc szybko swe najbardziej jaskrawe piórka i stając się przez to nudnem, bezmyślnem dreptaniem w koło minjaturowego parkietu. Wykrystalizowana z tych tańców forma ewolucyj, wolniejsza w takt 4/4 i szybsza w takt 2/4, nazwana raz „slow-foxem", drugi raz poprostu „foxtrotem", przetrwała po dziś dzień jako jedyny, trwały nabytek naszego powojennego repertuaru tanecznego (nie wymieniamy tu tanga, które było tańczone jeszcze przed wojną nietylko na estradzie, ale i na salach balowych).

Na tle tych mało udanych poszukiwań za nową formą taneczną staje się zrozumiałym renesans wiedeńskiego walca, którego zwolniona edycja, uwzględniająca właściwie tylko jeden, bardzo uproszczony krok, a nazwana „bostonem", nigdy nie mogła zastąpić pełnego temperamentu i elegancji pierwowzoru, słusznie uchodzącego za króla wszystkich tańców.

Ale ludziom, w ich ciągłej pogoni za nowością, zrozumiałej jako wypływ nerwowości i niepokoju epoki, w której żyjemy, nie wystarcza już nawet zawrotne tempo walca, ani żar tanga i zmysłowość slowfoxa. Ludzie dzisiejsi, to najczęściej wielkie dzieci, którym wogóle coraz trudniej przychodzi się bawić, a cóż dopiero, gdy zabawa ta trwać ma czas dłuższy w jednej, niezmienionej formie. To ogólne znudzenie, przejawiające się nierzadko ziewaniem na salach koncertowych i teatralnych, przeniosło się i do dancingów. Trzeba więc było nagwałt zastosować jakiś zastrzyk humoru, któryby rozruszał senną atmosferę, pokazać ludziom-dzieciom jakąś nową zabaweczkę, przybraną w krzykliwe szatki i wykonującą nieznane ogółowi, śmieszne ruchy, koniecznie łatwe do naśladowania, aby wszyscy bez wyjątku mogli się ich szybko wyuczyć. Rolę tę spełnił „Lambeth-Walk".

Nie będę tu już opisywał, jak wykonuje się ten taniec, bo niemal w każdem mieście można go oglądać na dancingu kilka, lub kilkanaście razy przez noc. Zresztą stroniącym od tańca wytłumaczą to najlepiej obok zamieszczone rysunki. Postaram się natomiast odpowiedzieć na pytanie: Skąd wziął się „Lambeth-Walk"?

Gdy po raz pierwszy oglądałem ten taniec, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że już go raz w życiu gdzieś widziałem. Nie byłem wówczas zdecydowany, czy działało tu podobieństwo do innego tańca, czy też chodziło wprost o „Lambeth-Walk'a". Tymczasem i jedna i druga alternatywa była do przyjęcia. Po pewnym czasie, dyskutując na ten temat ze znajomymi i przypominając sobie z ich pomocą szczegóły oglądanego przed dwoma laty amerykańskiego filmu z braćmi Marx, ustaliłem, że już w tym obrazie trupa rewjowa, złożona z samych murzynów i mulatów, tańczyła „Lambeth-Walk'a". Być może, że ten ich taniec różnił się od naszego „lambecika", że ruchy czekoladowych tancerzy, wykoszlawione synkopami, emanowały właściwem ich rasie wyuzdaniem w tańcu. Figury, które wykonywali, były jednak identyczne z temi, jakie obecnie widzimy tańczone na dancingach przez ludzi białych.

Niedługo potem, gdy „Lambeth" stał się modny w Ameryce, zaczęto tam pisać o nim



Marsz z podrygiwaniem...

RYSUNKI: CHARLIE — KRAKÓW

jako o tańcu marynarzy, nie ustalając jednak jego pochodzenia. Tymczasem w Europie odrazu odszukano miejsce jego narodzin, wskazując na robotniczą dzielnicę Londynu, położoną w samem centrum brytyjskiej stolicy, bo w sąsiedztwie Westminsteru, między Kensington Road, Old Paradise Street, Lambeth Road i in. Ciekawe szczegóły przynosi tu relacja jednego z dziennikarzy angielskich, Jerzego Kay'a, który wybrał się na poszukiwanie śladów pochodzenia najmodniejszego dziś tańca i dotarł do tej właśnie dzielnicy. Tam, na jednej z małych ulic, noszącej nazwę „Lambeth Walk", nie trudno mu było zobaczyć ten taniec, wykonywany przez młodych i starych w zadymionych barach, w ogródkach kawiarń, a nawet wprost na bruku ulicy. Słowa piosenki, w rytm której tańczono, mówiły o błękicie nieba i zieleni łąk, o beztroskiej atmosferze Lambeth, o rozkoszach tak odmiennych od tych, które są udziałem mieszkańców Mayfair.

Kay pierwszy zauważył, że tekst piosenki dziwnie nie harmonizuje z rzeczywistością, boć przecie na „Lambeth Walk" czy „Lambeth Road" niema łąk zielonych i niebo jest tam najczęściej szare jak w innych dzielnicach Londynu. Nie poszedł on jednak dalej i poprzestał na stwierdzeniu tego uderzającego kontrastu, podczas gdy gruntowniejsze badania doprowadziłyby go napewno do znacznie ciekawszego odkrycia. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zarówno piosenka, jak i taniec powstały zdala od Londynu — może gdzieś w dolinach Szkocji. Wskazuje na to i teskt piosenki, z biegiem czasu pewnie uzupełniany i charakter tańca, typowy dla mieszkańców górskich okolic.

Wedle relacji Kay'a, „Lambeth" znany jest w dzielnicy robotniczej Londynu od wielu lat. Poza nią nie wyszedł przedtem tylko dlatego, ponieważ życie tamtejszych mieszkańców jest bardzo ekskluzywne. Każdy znajduje tam na miejscu wszystko czego mu potrzeba, począwszy od warstatu pracy, a skończywszy na sklepie, kinie i barze. Z innych dzielnic rzadko kto zagląda na „Lambeth Walk" czy „Lambeth Road", żyjące jakby na uboczu, w zapomnieniu. Przed trzema laty odwiedził tę dzielnicę słynny amerykański komik filmowy Lupino Lane, który w poszukiwaniu osobliwości Londynu przypadkowo znalazł



się na „Lambeth Walk'. Otoczyła go zgraja żebraków, dopominających się natarczywie datku. Lupino, znany z miękkiego serca, sypnął im garść monet i chciał iść dalej. Tymczasem żebracy zastąpili mu drogę i rozpoczęli przy dźwiękach katarynki taniec, który miał uzewnętrzniać ich uczucia wdzięczności dla ofiarodawcy. Był to właśnie słynny „Lambeth". Jeszcze tego samego wieczoru Lupino, zaproszony przez grono przyjaciół do Sovoy'u, zaprodukował im taniec, który mu się bardzo spodobał. W ten sposób elegancki Londyn dowiedział się o istnieniu „Lambeth Walk'a" i tak rozpoczęła się epidemja tego tańca w Europie. Nietrudno odgadnąć, że Lupino przeszczepił go i na teren amerykański, choć tamtejsza prasa przypisywała jego autorstwo... marynarzom.

Porównując formę „Lambeth Walk'a", tańczonego w ubogiej dzielnicy robotniczej z tym, który króluje dziś na dancingach całego świata, odrazu zauważymy różnice, wynikające z konieczności dostosowania figur tańca do nowego podkładu muzycznego. Z dawnej piosenki mało co zostało poza kilkoma taktami melodji refrainu. I tu autorem zmian miał być Lupino, który kompozytorom angielskim, Noelowi Gay i Douglasowi Furber przedstawił już zmodyfikowaną formę tańca.

Gdy w Ameryce zaczęto na dobre interesować się „Lambeth'em", powstało pytanie, czy Chaplin, który pochodzi z tej właśnie dzielnicy Londynu, zna ów taniec — czy przed trzydziestu laty, gdy mieszkał na „Lambeth Road", tańczył go w takt znanej melodji. Odpowiedź wypadła negatywnie. Król komików stwierdził, ponad wszelką wątpliwość, że nigdy przedtem nie oglądał „Lambeth Walk'a" i że charakterystyczny jego chód na filmie bynajmniej nie powstał pod wpływem tego tańca, lecz jest wynikiem konieczności poruszania się w olbrzymich butach.

Przy końcu nadmienić jeszcze wypada, że do ojcostwa „Lambeth'a" przyznają się podobno również i mieszkańcy wybrzeży francuskich, którzy w figurach swoich tańców doszukali się cech wspólnych z formą „Lambeth Walk'a. Idąc po linji zapatrywań poczciwych rybaków trouvillskich, moglibyśmy wyszukać jeszcze wielu innych ojców „Lambeth'a". Jedno jest pewne, że będą oni ubywać w miarę zmniejszania się zainteresowania tak modnym dziś tańcem, którego żywot nie powinien być długotrwały.

J. L.

Holubczyk w prawo — potem w lewo....

Na lewo: Przyklaskiwanie z wdziękiem (koniecznie o uda)...

Na prawo: Okrzyk — mele: Wrzask ile wlezie „hej!", albo „oi!"...



W PODRÓŻY PO POLSCE

Roxy i jej drużyna





Loda Halama na czele zespołu teatru „8·15" w poszczególnych scenach operetki „Roxy i jej drużyna" podczas występu w Krakowie.








ZDJĘCIA: DR. AZET KRAKOW

Roxy i jej drużyna podróżują po Polsce... Kogo może interesować ta wiadomość? — chyba sportowców, bo chodzi o drużynę angielskich piłkarzy i ich piękną maskotę. Obecnie, gdy po występach na polskich boiskach „Chelsei" i „Wolverhampton Wanderers", przybyć ma wkrótce do nas słynna „Aston Villa", tournee „Roxy i jej drużyny" uzupełnia kalendarzyk tych naszych międzynarodowych spotkań — oto relacja w języku sportowców. A tymczasem... Drużyna pięknej Roxy, to rzeczywiście doskonali piłkarze angielscy, reprezentujący barwy Szkocji, ale tylko na... scenie, z woli scenarzysty dowcipnej operetki Pawła Abrahama, twórcy „Wiktorji i jej huzara", „Kwiatu Hawaju" i „Balu w Savoyu".

Operetka zdetronizowanego króla niemieckiego jazzu grana była z wielkiem powodzeniem w Warszawie przez „Teatr 8.15", który następnie wysłał swą reprezentacyjną drużynę — „uzupełnioną kilkoma rezerwowymi zawodnikami" — na prowincję. Tournee wiodło przez Kraków, słusznie zwany kolebką polskiego piłkarstwa. Nic więc dziwnego, że drużyna Roxy została tu specjalnie serdecznie powitana przez tłumy sympatyków sportu, oglądanego nietylko na boisku, ale i na scenie. Powodzenie występów „szkockich piłkarzy" tembardziej stanie się zrozumiałem, gdy powiemy, że na ich czele przybyła osobiście piękna maskotka, Roxy... Loda Halama! — To, co ta „szalona dziewczyna" wyprawia na scenie, może wyprowadzić z równowagi najbardziej „zaflegmionego" Anglika. Ojciec pięknej Roxy ma dużo powodów do irytacji. Pragnie wydać swą córę zamąż za niesympatycznego dla niej człowieka. Roxy ucieka pod opiekę drużyny rycerskich piłkarzy, wśród których po wielu perypetjach znajduje swą „drugą połowę".

Roxy gra Loda Halama. Świetna ta tancerka posiada bujny talent, który pozwala jej przerzucać się z kreacyj czysto choreograficznych do ról o podkładzie wokalnym, w rewji i w operetce. Skromne stosunkowo możliwości śpiewaczego wypowiedzenia się wynagradza artystka wielką kulturą sceniczną, przysłowiowym już temperamentem i umiejętnem wyzyskaniem osobistego wdzięku i urody. Dlatego też kreację Lody w operetce Abrahama nazwać możemy fascynującą. W szeregach jej drużyny pierwsze miejsca zajmują: Zofja Ordyńska, zawsze znakomita w rolach charakterystycznych i Marjan Wawrzkowicz, najmilszy z amantów i bezsprzecznie najlepszy śpiewak polskiej operetki.

el.

Dokończenie ze str. 5-ej.

W czasie kuszenia Fausta przez Mefistofelesa, ukazywała się w oknie postać kobiety. Zwykle była to śpiewaczka, grająca następnie Małgorzatę. Dołżycki żywą kobietę zastąpił witrażem z rysunkiem młodej dziewczyny. Chodziło o efekt następujący: Mefisto ukazuje Faustowi wycinek pięknego, jasnego światła, który był stale w pobliżu Fausta, lecz którego nie spostrzegał... W chwili kuszenia, za sprawą szatana, witraż oświecają promienie słońca...

W opisanej już scenie pokuty Małgorzaty, rozgrywającej się we wnętrzu kościoła, szatana wcale niema na scenie. Śpiewa on za kulisami, a publiczność głos jego słyszy przez głośnik, umieszczony w kopule gmachu ponad widownią. Słowa Małgorzaty: — „Skąd ten głos, który się nademną rozlega..." nabierają uzasadnienia. Duże wrażenie wywiera na publiczności głos, który jest potężny, silny, lecz — niewidoczny.

Scena, rozgrywająca się dotychczas przed domem Małgorzaty, podzieloną została na dwa oddzielne obrazy: jeden dzieje się wewnątrz domu, drugi w ogrodzie. Zrozumiałem jest bowiem, że takie czynności, jak złożenie w czasie nieobecności w domu Małgorzaty bukietu kwiatów, jak praca przy kołowrotku, musiały odbywać się w domu, a nie przed nim. Pozatem chodziło o stworzenie w następnym obrazie jaknajbardziej romantycznego tła. Dotychczas działo się na scenie tak, iż do widocznego w oddali domu Małgorzaty wchodzili w celu... odosobnienia najpierw Mefisto i opiekunka Małgorzaty, zamykali okiennicę, i po chwili wychodzili. Do tego samego domku wchodził następnie Faust z Małgorzatą. Trzeba przyznać, iż ta od lat uświęcona tradycją scena, nie grzeszyła... poczuciem smaku. Dołżycki przeniósł — jak powiedziałem — całą scenę uwiedzenia Małgorzaty do romantycznego ogrodu. Widoczny zdala domek i zamykaną wstydliwie okiennicę skasowano.

Arja z medaljonem, którą Walenty (brat Małgorzaty) niewiadomo dlaczego śpiewał na kiermaszu wprost do... medaljonu, została skasowana. Tę samą arję śpiewa teraz Walenty do Małgorzaty w stworzonym przez Dołżyckiego prologu, w czasie którego dowiadujemy się, że Walenty wyjeżdża i żegna swą siostrę.

Oto kilka przykładów zmian reżyserskich. Pociągnęły one z konieczności zmiany muzyczne. Wśród tych zdecydował się dyr. Dołżycki na szereg skreśleń t. zw. koncertatów chóru. Były to popisowe partje chóralne, które chór śpiewał w chwilach najbardziej nieodpowiednich, przerywając na długi okres czasu bieg akcji scenicznej. Głównie uległy redukcji koncertato w karczmie i bardzo długi „Marsz Żołnierzy", ograniczony obecnie do kilku taktów.

W ten sam sposób zmieniono również nieodłączną część „Fausta" — Noc Walpurgji, a wreszcie: oprawę dekoracyjną i kostjumową, stosując najnowsze, a nie spotykane dotychczas w operze zdobycze techniki świetlnej i dekoracyjnej współczesnego teatru.

Nową interpretację otrzymały: muzyka, reżyserja, libretto, dekoracja i kostjumy. — A więc — wszystkie elementy. Opracowano je każdy z osobna, a zarazem łącznie, w logicznej zależności od siebie. Stara, zmursziała opera przeszła nie przez zewnętrzną, nową polituręm, lecz dokonano na niej zasadniczej operacji odmładzającej.

Na to właśnie czekała nadaremno od lat publiczność. Dowodem tego — nienotowane powodzenie „Fausta" na scenie warszawskiej.

Mgr. Roman Burzyński.

Rafał Schermann opowiada



Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

AUTORYZOWANE TŁÓMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Któż bardziej potrzebuje mądrego pokierowania swem życiem niż ten, który je dopiero rozpoczyna? Czyż właściwe obchodzenie się z dziećmi i właściwe ich wychowanie nie jest już połową ich przyszłego szczęścia? A czy często się zdarza, aby rodzice dokładnie orjentowali się w dyspozycjach swych dzieci, w ich zdolnościach, charakterze, wadach i zaletach? Chyba nie! Sprawa wychowania dzieci, tak w domu jak w szkole, do dziś dnia, mimo tylu podjętych prób, przedstawia jeszcze nieraz niezapisaną kartę, która czeka na wypełnienie. Żaden chyba wysiłek, żadne staranie nie będzie za duże, jeżeli zapewni nam to przeświadczenie, że zrobiliśmy wszystko, aby dobrze wychować nasze dzieci, i że one, w przyszłości nie będą miały prawa robić nam gorzkich wyrzutów, iż zaniedbaliśmy cokolwiek dla ich szczęścia.

Pismo dziecka jest z natury rzeczy mniej wyrobione, niż pismo dorosłego człowieka. Mimo to można z niego wyczytać wszystkie wyraźne cechy charakteru, jak również duchowe przemiany i przeżycia. W szczególności umożliwia pismo wyjaśnienie duchowych kryzysów i wstrząsów u dziecka i zrozumienie przyczyn niejednego pozornie nieprzemyślanego kroku, aż do tak częstych samobójstw dziecinnych włącznie. Pozwalą też pismo wnioskować o specjalnych właściwościach i uzdolnieniach w kierunku jakiegoś zawodu. Badanie grafologiczne umożliwia w ten sposób znalezienie skutecznych metod wyrobienia charakteru i wychowania dziecka, pozwala uleczyć jego duszę, przez łagodną perswazję skłonić je do zmiany pewnych zamiarów, wkońcu sformułować odpowiednio wnioski w odniesieniu do wyboru zawodu.

* * *

W Paryżu odwiedziła mnie pewnego dnia przystojna, młoda dama z towarzystwa. Zachęcona przez ukazujące się podówczas w paryskich dziennikach artykuły moje o wychowaniu młodzieży, postanowiła zasięgnąć mej rady, dokąd skierować swego siedmioletniego synka po ukończeniu przez niego szkoły powszechnej. Przyniosła ze sobą kartkę wyjętą z szkolnego zeszytu chłopca i pokazała mi ją. Patrząc na kartkę zauważyłem:

— Sądząc z biegu pisma, chodzi tu o uderzająco piękne dziecko.

Słysząc moje słowa, pani wydobyła z torebki zdjęcie z plaży, które w zupełności potwierdziło słuszność mych słów.

— Chłopak ten — ciągnąłem dalej — jest ponad swój wiek rozwinięty. Wykazuje już dziś samodzielną indywidualność. Powinien należeć do najlepszych uczniów, choć widzę w jego piśmie pewną niedbałość. Opuszcza litery. W pierwszym wierszu brakuje np. w słowie „après" litery r, w drugim — w słowie „est" — litery t, w trzecim pisze to samo słowo z r i akcentem, ale znowu bez litery s. To niedbalstwo znajduje uzasadnienie w jego nerwowej nadwrażliwości.

Przybyła przerwała mi:

— Ma pan rację. Dziecko jest niezwykle inteligentne i robi wielkie postępy. Nauczyciele przepowiadają mu wielką przyszłość.

— Wielką przyszłość? Możliwe, proszę pani, ale tylko pod warunkiem, że będzie odpowiednio wychowywane, a nie jest łatwe do prowadzenia. Radzę pani w jej własnym interesie, aby go pani nie drażniła. Mimo swych siedmiu zaledwie lat, może stać się bardzo niebezpieczny.

— Muszę pani jednak powiedzieć, że w piśmie tego dziecka zaznaczają się również i zbrodnicze skłonności. Niech pani zwróci uwagę na końcowe kreski w literach „s" w słowie „après", d w „d'un„ i w „suis", r w słowie „parti" i l w rodzajniku „la". We wszystkich tych kreskach można rozpoznać myśl o jakimś cienkim, ostrym przedmiocie. Litery są urywane, bez połączenia z następnemi, co uzmysławia pchnięcie nożem. Te same cechy znajduję i w nabazgranym rysunku; w trzeciej postaci męskiej, od lewej, wyraża się myśl chłopca o nożu. Widzimy jak postać trzyma nóż na wysokości pasa, gotowa do uderzenia. Przestrzegam panią, aby pani unikała przebywania z nim na stopie wojennej, może się zdarzyć, że panią uderzy nożem w serce!

Kobieta spojrzała na mnie wzburzona; to, co wyczytałem z pisma dziecka, zrobiło na niej głębokie wrażenie.

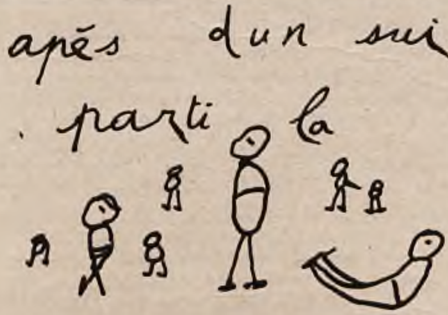
Dla charakterystyki swego syna dodała jeszcze, że często jest zmuszona ukarać go, poczem chłopak zazwyczaj wybiega z pokoju by za chwilę wrócić; ucałować jej ręce

Poniżej: Pismo 7-letniego nożownika.

apês je ne suis acoche a la resti dun
jeune homme, il es parti je sui
prattins, aprê on ês parti manan



Jakie będą drogi życiowe tych dzieci? Wyjaśniłoby to pismo badane przez psychografologię.



Niedołężne rysunki 7-letniego chłopca wykazują dobitnie jego skłonności.

i przeprosić. Ostatnio, było to trzy dni temu, gdy znów był bardzo niesforny, uderzyła go w twarz. Chłopak wybiegł, jak zwykle z pokoju, a po chwili wrócił. Matka jego była przekonana, że za chwilę przeprosi ją jak to zwykle czynił. Jakież było jej zdziwienie i przerażenie, gdy zobaczyła, że w ręce trzyma nóż, z którym rzucił się na nią, krzycząc „To jest moja broń obronna!" Po dłuższem szamotaniu się z chłopcem zdołała mu wkońcu odebrać nóż. Opowiedziawszy mi te przejścia opanowała się i złożyła następujące pisemne zeznanie:

„Il est extraordinaire que vous ayez découvert dans ce peu de mots que l'enfant m'a déjà menacée avec un couteau et a dit: „Ça, c'est une arme de défense".

(„To jest niezwykłe, że z tych kilku słów wykrył pan fakt, iż dziecko groziło mi nożem i powiedziało: „to, jest broń obronna").

Ujrzawszy jej pismo, zrobiłem zdziwiony wyraz twarzy:

— Gdy patrzę na pismo dziecka i pani, muszę stanowczo stwierdzić, że dziecko to nie może być pani dzieckiem. Jest to zupełnie inna krew.

Spojrzała na mnie, zupełnie wytrącona z równowagi.

— Na to pan też wpadł? To niesamowite, że pan tak wszystko widzi! Jest to rzeczywiście nie moje dziecko. Będąc małżeństwem bezdzietnem, zdecydowaliśmy się z mężem zaadoptować dziecko. Udaliśmy się więc do przytułku dla podrzutów i wybraliśmy najładniejszego i najzgrabniejszego chłopczyka. Kim byli jego rodzice, nie wiemy.

— Powinniście się państwo byli dowiedzieć — zauważyłem — gdyż w żyłach tego dziecka płynie krew mordercy. Ojciec jego musiał być również tęgim pijakiem.

Głęboko wstrząśnięta, zwróciła się do mnie moja klientka z następującem pytaniem:

— Jak teraz widzę, chłopak stanowi stałe niebezpieczeństwo dla mego życia. Niech mi pan poradzi, co mam czynić?

Przedstawiłem jej różne inne cechy charakteru dziecka i podałem jej odpowiednie normy postępowania. Siedziała przedemną, blada jak trup. Nie mogła wykrztusić słowa, milcząco tylko poprosiła o pióro i napisała:

„C'est tout à fait juste que ce garçon est, comme vous me l'avez expliqué en ce moment, tellement sexuel, que nous sommes forcés de le retenir.

Maintenant je comprends pourquoi cet enfant est tellemnt nerveux et exalté.

Je veux suivre votre conseil et je veux essayer de conduire ce garçon sur le bon chemin par bonté.

Il est exact aussi que ce garçen crie au point de fatiguer l'oreille.

Dans l'intéret de la science, vous pouvez publier les écritures.

Paris, le 18 février 1934.
Montaguier.

W tłumaczeniu polskiem, oświadczenie to brzmi:

„Jest zupełnie zgodnem z prawdą, że chłopak — jak mi pan to przed chwilą wyjaśnił — jest tak erotycznie usposobiony, że musimy go hamować.

Teraz rozumiem, dlaczego jest on tak nerwowy i egzaltowany.

Pragnę pójść za pana radą i spróbować nawrócić go dobrocią na dobrą drogę.

Prawdą jest również, że chłopiec tak krzyczy, że wprost uszy bolą słuchać.

W interesie nauki może pan opublikować te pisma.

Paryż, 18 luty 1934.

Na pożegnanie udzieliłem jej jeszcze rady, aby trzymała dziecko daleko od wszystkiego, co pobudza jego zmysły, a więc i od kina i aby porozumiała się z lekarzem co do odpowiedniej dla niego djety. Wtedy będzie można liczyć na happy end.

* * *

W każdem ludzkiem towarzystwie, wszędzie tam, gdzie skupi się choćby kilku ludzi spotkamy tak zwane „kozły ofiarne". Nie brak ich w klasie szkoły ludowej, tak jak w życiu narodów: zawsze traktuje się jednego gorzej od innych, i jeden z nich — zresztą niewinnie — ściąga na siebie pogardę i upośledzenie u współtowarzyszy. Zwłaszcza w kole rodzinnem wydarzenia takie są niezwykle przykre, bo przecież rodzina, z racji swego przeznaczenia, powinna być wzorem miłości i solidarności.

Poniżej: Najlepiej wrodzone skłonności dziecka odzwierciedlają jego zabawy. Może wśród tych bawiących się chłopców znajdują się przyszli wielcy odkrywcy lub inżynierowie?



Ich betrachte diese Wandlung als
Das größte Glück meines Lebens

Pismo garbatej dziewczyny, którą uratowała psychografologja.

Pewnego razu, odwiedziła mnie wdowa po bogatym kupcu, która prowadziła poważne przedsiębiorstwo. Pragnęła poradzić się mnie w swych sprawach majątkowych i omówić ze mną przyszłość swoich czterech córek. Przedłożyła mi przytem swoje pismo. jak również pismo swych córek. Przejrzałem je szybko. Spokojna harmonja, która promieniowała z czterech pism, zakłócona została piątem pismem. Zatrzymałem się też przy tem ostatniem. Dźwięczała w niem utajona skarga i smętne wołanie o pomoc. Potrząsając głową, zwróciłem się do swego gościa:

— Uważa się pani za dobrą matkę, ale wobec tego dziecka dopuszcza się pani zbrodni. Niema tu ani śladu tej miłości, którą obdarza pani inne dzieci. Traktuje ją pani jak pasierbicę.

Spojrzała na mnie wzburzona: — Czynię przecież co mogę; jak może mi pan stawiać taki zarzut?

Odparłem spokojnie:

— Nie czyni pani dosyć. Niech pani spojrzy na roztrzępione, ciężkie pismo tego dziecka! Duchowo jest najbardziej interesującą ze wszystkich córek pani, lecz każe jej pani spełniać wyłącznie domowe posługi i nie dopuszcza jej do żadnej rozrywki, a wszystko dlatego, że przyszła na świat garbata.

Oburzona, zerwała się z krzesła: — Zajmuję ją dlatego tylko domowemi pracami, gdyż sądzę, że ten rodzaj zajęć jej najbardziej odpowiada.

Przerwałem jej:

— Powinna pani — jako matka — sama odczuć, że czuje się ona nieszczęśliwa. Tamte córki kwitną, podczas gdy ta jest wycieńczona i blada. Prócz tego, jest tak onieśmielona, że nie odważa się nic powiedzieć. Widzę jasno, że takiego życia długo nie wytrzyma. Jeśli pani nie wprowadzi trochę słońca do jej życia: odbierze je sobie.

Ze smutną miną, spytała mnie matka: — A jak mam z nią postąpić, według pańskiego zdania?

— Niech ją pani weźmie do swego przedsiębiorstwa. W ten sposób wejdzie w kontakt z światem zewnętrznym, zobaczy wkoło siebie nowych ludzi, dozna nowych wrażeń i życie jej nabierze nowego sensu. Jako wolny człowiek będzie się czuła wesoła i szczęśliwa i nie będzie odczuwać, że przez swe kalectwo jest na zawsze upośledzona.

Pełna wdzięczności, opuściła mnie moja klientka. Obiecała zastosować się do mej rady i rzeczywiście to uczyniła. W niedługim czasie potem otrzymałem list biednego kopciuszka, który naraz ujrzał swe nadchodzące szczęście, Elza pisała do mnie:

„Gdy wczoraj moja mama powróciła do domu, opowiedziała mi, że pan jej poradził wziąść mnie do przedsiębiorstwa, żebym już nadal nie spełniała obowiązków pokojówki. Jestem szczęśliwa z powodu pańskiej rady. Uważam tę zmianę za największe szczęście mego życia, gdyż nie byłabym dłużej zniosła tej degradacji, być dlatego tylko zawsze zajętą w kuchni, że natura potraktowała mnie po macoszemu. Często myślałam już o rozstaniu się z życiem. Na dowód, posyłam panu kartkę z mego pamiętnika.

Pomógł mi pan, niech pana za to Bóg nagrodzi".

W pamiętniku przeczytałem:

„...na dzisiaj koniec, jestem już bardzo zmęczona i mam straszny ból głowy. Dzisiaj znowu czuję się fatalnie, a przecież musiałabym się cieszyć, gdyż kochana mama powróci. Właściwie ogromnie się cieszę, ale równocześnie boję się tej strasznej roboty, a właściwie nie przestrasza mnie ona sama tylko to, że może nie będę mogła jej podołać.

„...czuję się chora i życzyłabym sobie, abym była nią jeszcze bardziej, by móc na pewien czas wyprząc. Nie znoszę już tej ciągłej monotonji, tych samych obowiązków, tego jednostajnego trybu życia. Dobrzeby mi zrobiło trochę rozrywki. Nie mam już nic prócz ciągłych trosk i „harówki". Nie wiem naprawdę dlaczego nie mam zupełnie ochoty do życia, i wiem zupełnie dokładnie, że gdy tak dłużej pójdzie popadnę w melancholję. Nie zniosę takiego życia. Mogłabym krzyczeć: tak dalej być nie może. Muszę się opanować całą siłą woli, aby zająć się kuchnią. Kłócę się z Bogiem: pocóż kazał mi żyć i dlaczego nie stworzył mnie szczęśliwszą? Dlaczegóż muszę być prześladowanem zwierzęciem? Bóg jest niesprawiedliwy"!

Ale Bóg jest sprawiedliwy, bo matka kopciuszka zrozumiała jej sytuację i poszedłszy za moją radą zbliżyła ją do życia, dając jej więcej radości.

Fot. Sport — General.



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

Heidi

SLOWFOX



GIURI RADNAI

f

p

8

Fine.

3 3

rit.

D.S. al Fine.

Zachwyceni, oczarowani...

odświeżającą, o subtelnym i trwałym zapachu — PULSA wodą kolońską

Wytworne, od lat znane i cenione wody kolońskie

TRZY TRÓJKI
POTRÓJNA
POCZWÓRNA



FR. PULS S. A. WARSZAWA

B**yczo jest! — zawołał torreador Carremba, gdy dowiedział się, że jego przeciwnikiem w czasie najbliższej walki byków, będzie słynny byk Furiato.

— Gdybym był owym marynarzem Kubusiem — z grotesek rysunkowych w kinie — zjadłbym teraz potężną porcję szpinaku — pomyślał Carramba. — Ponieważ jednak jestem człowiekiem z krwi i kości, przeto wolę pójść do restauracji na dobry obiad — czeka mnie przecież zacięta walka.

Carramba szedł przez ulicę Sewilli z dumnie podniesioną głową. Znali go tu wszyscy. Kobiety szalały za słynym torreadorem, który był bożyszczem aren hiszpańskich.

Jedno spojrzenie Carramby potrafiło rozbroić najbardziej oporną kobietę.

Triumfy zresztą jakie odnosił Carramba nad płcią słabą fizycznie, a mocną w słowie, były niejako treningiem przed występami na arenie. Niejednokrotnie Carramba opowiadał w wywiadach prasowych, że swe zwycięstwa na arenie zawdzięcza w dużej mierze — kobietom.

— Bo proszę panów — mówił do dziennikarzy — patrzyłem śmiało w oczy wielu groźnym Carmenom — i nieraz sztylet zazdrosnej był już bliski mej piersi. Zawsze jednak umiałem w porę uskoczyć przed ciosem zawistnej kobiety. To też nabrałem wprawy — i dziś gdy stanę oko w oko z mym przeciwnikiem na arenie, mówię sobie: Carramba, nie bałeś się kobiet, a masz się ulęknąć łagodnego byka?! Tak proszę panów, bo nawet najbardziej rozjuszony byk nie ma w sobie tyle okrucieństwa, co najłagodniejsza kobieta. To też radzę wszystkim młodym torreadorom: chcecie odnosić zwycięstwa na arenach, starajcie się przedewszystkiem o częste przebywanie w towarzystwie kobiet.

Walka zapowiadała się sensacyjnie.

Carramba z prawdziwym apetytem zjadł śniadanie. Napił się wina. Przyszłość przedstawiała mu się teraz w różowych kolorach.

Nazajutrz nieprzebrane tłumy przybyły z całej Sewilli i okolicy, aby oglądać walkę Carramby z najgroźniejszym bykiem Hiszpanji.

Carramba wyszedł na arenę. Skłonił się publiczności, która głośnemi okrzykami powitała swego ulubieńca.

Za chwilę na arenie ukaże się — byk...

— Pokażę im jak się walczy — myślał zadowolony z siebie i ze świata Carramba.

Byk wypadł.

Biegł przed siebie, nisko pochylając głowę. Tłumom dech zamarł w piersiach. Było tak cicho, jak na froncie, gdzie właśnie zawieszono już broń na kołku.

Byk przebiegł o kilkanaście kroków obok Carremby.

Co to znaczy?



Arena hiszpańska w grotesce filmowej









— Czyżby mnie nie zauważył? — zgrzytnął zębami ambitny torreador.

Zamachnął się swą płachtą czerwoną, na widok której siedzący wśród tłumów falangiści zaczęli też zgrzytać zębami.

Kilka podskoków i Carramba stanął przed samym bykiem — machając mu przed nosem płachtą.

Byk siadł na tylnych nogach i nawet nie mrugnął okiem.

— Czy my tu się bawimy w nieinterwencję! — zawołał wściekły torreador. — Tu jest arena — tu się trzeba bić, tu nie można rokować...

A byk zrobił smutną minę.

Carramba szalał ze wściekłości.

— Co za zwierzę — myśli, że przyznam mu amnestję — no byku, skoro przyznałem ci prawa strony wojującej — rusz się...

Ale byk położył się na bok, ziewnął.

— Ziewa! — krzyknął torreador. — Tego jeszcze żadna kobieta ani żaden byk nie zrobił w moim towarzystwie! — Czy tu nadajemy komunikaty urzędowe, żeby ziewać...

Tłum począł się już denerwować. Padały okrzyki niezbyt pochlebne zarówno pod adresem byka jak i torreadora. Byk jednak leżał przymknąwszy oczy. Nie obchodziła go zupełnie ta cała walka, jakby tu nie chodziło zupełnie o jego skórę.

— No, ruszysz się, czy nie! — zawołał torreador, i nadepnął bykowi na ogon.



Byk wstał.

— Teraz się rozjuszy.

Ale w oczach byka nie było zupełnie chęci do walki.

Raz jeszcze Carramba machnął czerwoną płachtą przed oczyma byka.

Ale bez skutku. Byczek odwrócił się i począł wolnym krokiem spacerować sobie po piasku areny.

— Zimne bydlę!... — ryknął Carramba — będziesz ze mną walczyć?!...

Ale byk nawet nie obejrzał się. Szedł ze zwieszoną głową. Ktoś rzucił mu kwiatek. W oczach byka zabłysło zadowolenie.

— Ależ to nie byk Furjato chyba... pomylili się... — myślał Carramba.

Nagle strzeliła mu myśl do głowy.

— Proszę państwa — rzekł, zwracając się do publiczności — niestety wpuszczono na arenę byka — daltonistę — nie rozróżnia kolorów — więc nie można go rozdrażnić czerwoną płachtą.

Byka usunięto z areny i sprowadzono doń weterynarza.

A kiedy poczciwy weterynarz zbliżył się do byka i zapytał go łagodnym głosem:

— Czemu krasy byku nie chciałeś się bić?

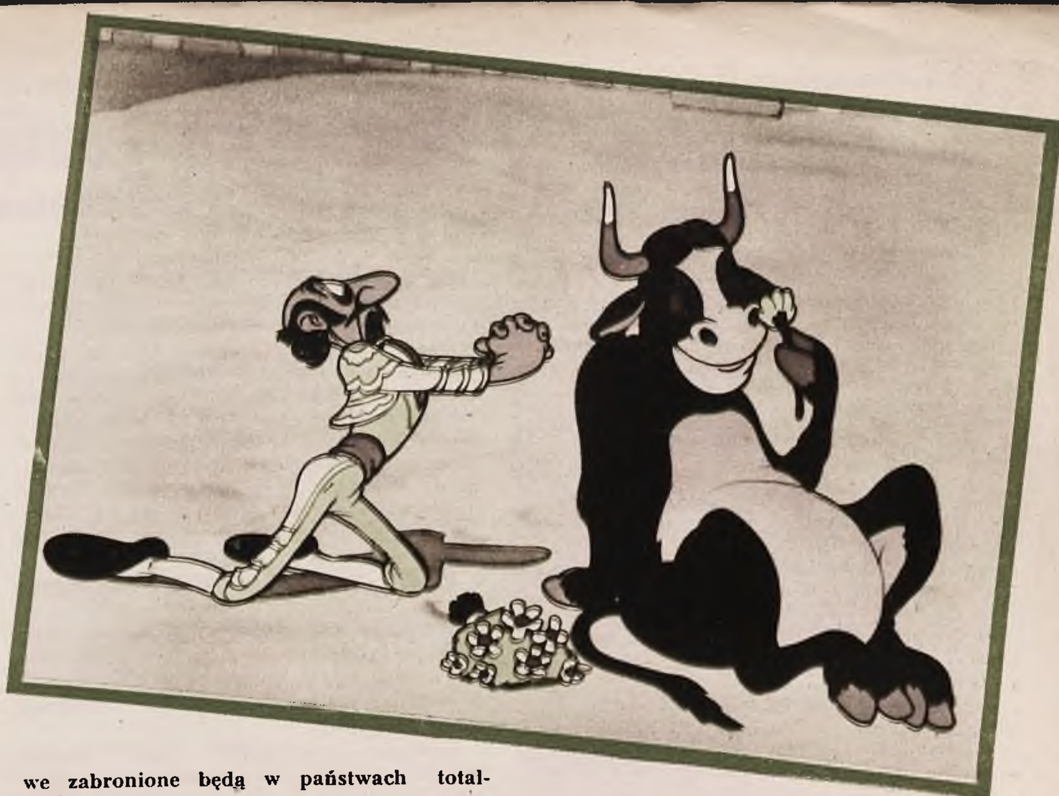
Byk odpowiedział łagodnie:

— Bo z w i e r z ę jestem, czemś ostatecznie musi się zwierzę różnić od człowieka.

Taki mniej więcej naszkicowałbym scenarjusz, gdyby Walt Disney, który jest autorem zamieszczonych obok rysunków wpadł na ten doskonały pomysł i zamawiał scenarjusze dla swych grotesek i w Polsce.

Groteski rysunkowe są jednym z cudów współczesnej sztuki filmowej.

Bawią nas i wzruszają. Są przepełnione optymizmem i wiarą w zwycięstwo słabszych. Wszak zazwyczaj w groteskach rysunkowych małe i bezbronne stworzenie zwycięża zawsze złego i potężnego potwora. Być może, że niedługo filmy rysunkowe zabronione będą w państwach totalnych...



W filmach rysunkowych — jak naprzykład w naszym filmie o byku i toreadorze — zwierzęta przemawiają zrozumiałym dla nas głosem. Nie trzeba czekać aż do wigilji Bożego Narodzenia, by posłyszeć głos zwierząt.

Idźcie do najbliższego kina i posłuchajcie, jak zwierzęta do was mówią z ekranów.

Bawicie się jak dzieci — niech wam się wydaje, że słuchacie jako malcy bajki o królewnie Śnieżce. Filmom rysunkowym zawdzięczamy wiele — mają one w sobie eliksir młodości. W sanatorjum Woronowa powinno się przedewszystkiem wyświetlać groteski rysunkowe.



Wiemy dobrze jak się nakręca. Wiemy, ile mrówczej pracy wymaga wirowanie na ekranie jednej tańczącej mrówki.

Trzeba się porządnie napracować, aby potem bawić miljony — za miljony, które najsłuszniej w świecie spływają potem do kieszeni wielkich pocieszycieli ludzkości w rodzaju Walta Disneya.

Wierzymy Waltom Disneyom, że istnieją jeszcze byki mądrzejsze od ludzi, byki o usposobieniu pacyfistycznem, które wolą wylegiwać się w słońcu na piasku areny — niż rzucać się z wściekłością na każdą płachtę, jaką nam machną przed oczyma...

Zbigniew Grotowski.

Z filmu rysunkowego
WALTA • DISNEYA

Bluza do kostjumu tenisowego



Bluza kostjumu tenisowego.

Poniżej: Schemat kroju bluzy do kostjumu tenisowego.

Bluza do kostjumu tenisowego, którego shorty opisane były w poprzednim numerze „Asa", harmonizuje z niemi w kolorze, ale w taki sposób, że wykonuje się ją trzema nitkami, z których jedna jest koloru shortów, a dwie inne odpowiednio zestawione. Druty do niej bierzemy nr. 6. Ilość wełny potrzebna do bluzy około 320 gr., zależnie od tego zresztą czy wolniej lub ciaśniej robotę się wykonuje.

W naszym wzorze, którego schemat podajemy obok, na wykonanie przodu przygotowano 54 oczka, które stanowić mają 47 cm. Tą szerokością robimy na wysokość 20 cm, poczem stosownie do znaczenia litery c) odejmujemy 6 oczek w 3 rzędach. ujmując kolejno 3, 2 i 1 oczko. Da nam to 4 cm, poczem rozdziela się robotę na dwa druty. Na jednym mamy 30 oczek, które robimy w górę na 13 cm, poczem tam, gdzie mamy literę b) odejmujemy 12 oczek w trzech rzędach (4, 4, 4). Po zakończeniu tej części, wracamy na drut drugi, gdzie mamy 12 oczek. I te robimy w górę na 13 cm, poczem przy literze b) postępujemy jak z prawej strony przodu.

Łatwiejsze do zrobienia są plecy. Zaczynamy od 46 oczek, które stanowią długość 42 cm, czyli szerokość pleców. Robimy na nich 20 cm na wysokość, poczem tam, gdzie mamy litery a) ujmujemy 5 oczek w trzech rzędach (3, 1, 1). Następuje dalszy ciąg prostego kawałka na 17 cm, które robimy z posiadanych na drucie 36 oczek. Zwężenie na ramiona, znaczone literami b) robi się tak samo jak na przodzie.

Pozostają do zrobienia: 2 rękawy, pasek i rulonik do dekoltu. Rękawy zaczynamy od 30 oczek (25 cm) i odrazu rozszerzamy robotę, dodając co półtora cm jedno oczko. Wskazują to litery d/e. Dalsze litery f) oznaczają zwężanie i zaokrąglanie rękawa, które wykonuje się, ujmując po jednem oczku na początku każdego rzędu. Ostatnie 5 oczek przerabia się razem, zamykając robotę rękawa.

Pasek robimy na 8 oczek a na długość 70 cm.

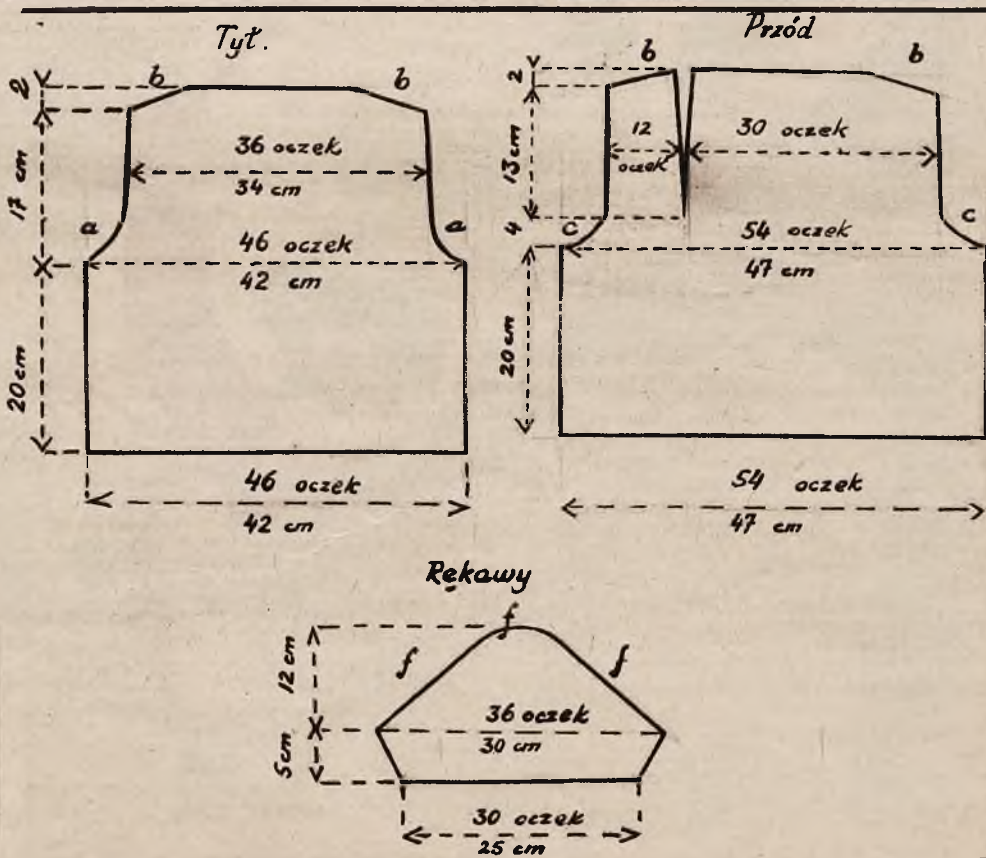
Wałeczek do wykończenia dekoltu szydełkujemy. Na łańcuszku o 9 oczkach, który zamykamy w kółeczko, szydełkuje się ślimakiem półsłupki, póki nie uzyskamy 30 cm długości.

Łączymy poszczególne części krytym ściegiem. Dołem bluzy przyszywamy paseczek, naddając trochę z szerokości bluzy. Z lewej strony pozostawiamy niezaszyty szew, który służy do zastosowania błyskawicznego zatrzasku.

Wałeczek ujmuje wycięcie przy szyji od prawego ramienia do szpica po lewej stronie. Wałeczek można ładnie wykończyć frendzlą z wełny w głównym kolorze kostjumu tenisowego.

Jak już to podawaliśmy przy opisie shortów, każda część kostjumu musi być odprasowana przez wilgotną szmatkę, po dokładnem przypięciu roboty do przygotowanej formy kroju.

Mewa.



NOWOCZESNA KOSMETYKA

Jak odświeżyć zmęczoną twarz?

Są okoliczności życia, działające szczególnie niekorzystnie na wygląd kobiety: świeża nawet cera traci swój blask, skóra staje się nieelastyczna a twarz postarza się, ku prawdziwemu zmartwieniu właścicielki, która chciałaby szybko zatrzeć ślady niedyspozycji i wrócić do swej właściwej formy.

Długa podróż, zwłaszcza porą nocną, praca w późnych godzinach wieczornych i nocnych, wreszcie dłuższe przebywanie w zadymionych lokalach restauracyjnych czy kawiarnianych powoduje przykre następstwa w wyglądzie pięknej pani. Trzeba znać sposoby szybkiego zaradzenia złemu.

Jednym z nich jest gorący okład na twarz. Zastosowanie go nie jest trudne ani męczące, a skutek doskonały. Pory skóry rozszerzają się i napinają, poczem wracają zwolna do normalnego stanu, czyniąc skórę twarzy elastyczną i barwiąc ją zdrowym rumieńcem.

Jak przygotować gorący okład? Składa się gruby płatek frotowy kilkakrotnie na długość, bo im grubszy, tem dłużej zatrzyma wysoką temperaturę. Zanurza się go w gorącą wodę, pozostawiając w niej tak długo, aż się doskonale tym wrzątkiem namoczy. Wykręcić i założyć na twarz, zaczynając od brody i przesuwając dłońmi po policzkach ku górze, aby okład przylegał dokładnie do skóry. Temperatura okładu zależna jest od wytrzymałości indywidualnej; im cieplejszy tem skuteczniejszy. Chodzi tylko o to, aby wytrzymać jego ciepłotę przez 3 minuty.

Zaraz potem zdejmuje się okład, otulając twarz suchym ręcznikiem, tak długo aż twarz ochłódnie. Jeszcze tylko kilkominutowy wypoczynek — a zdziwi się pani, jak szybko i dokładnie dokonała się metamorfoza, na której tak bardzo zależy każdej kobiecie.

Jednorazowe odświeżenie twarzy nie może być jednak wystarczające tam, gdzie chodzi o szerzej pojętą regenerację twarzy, a potrzebują jej zwłaszcza w porze przedwiośnia wszystkie kobiety pracujące, które odczuwają w tym czasie ogólne osłabienie fizyczne.

Pierwsza ogólna rada — to konieczność przebywania na świeżem powietrzu, jako remedjum na objawy zmęczenia, które są często niczem innem, jak tylko reakcją organizmu na zimowe braki w tym kierunku. Zacznijmy od dokładnego wietrzenia pomieszkań i ubikacyj, w których pracujemy. Zwiększająca się z dniem każdym ilość słońca pozwala na to w coraz szerszej mierze. Osoby bardziej zahartowane powinny otwierać okna przedewszystkiem rano, przy codziennej gimnastyce, która zupełnie inne da w takich warunkach rezultaty. Wieczorny spacer niechaj będzie nakazem zdrowia, którego pod żadnym pozorem nie należy zaniechać. I w tem dopomaga coraz dłuższy i jaśniejszy dzień.

W godzinach popołudniowych, kiedy objawy zmęczenia występują najsilniej, nie podniecajmy się czarną kawą, ani też silną herbatą, lecz pomyślmy o pomarańczach, czy innych świeżych owocach, mogących dostarczyć cennych witamin.

Nie możemy pominąć tutaj kwestji snu, jakkolwiek poświęcimy jego omówieniu osobny rozdział naszych rozważań. Sen w zdrowych warunkach daje bowiem najlepszy wypoczynek i nie wolno poświęcać go dla przyjemności, dostępnych wieczorem, jakkolwiek teatr, kino, odwiedziny, nie mogą być wykreślone z codziennego życia jednostki. Szczególnie kobiety, mające za sobą większą ilość lat pracy zawodowej powinny dbać o 7—8 godzinny sen na dobę. Ale przed snem przewietrzajmy dokładnie sypialnię!

Elwira.

Urocza gwiazda filmowa Róża Stradner jest gorącą zwolenniczką kosmetyki, która w wielkim stopniu przyczynia się do jej urody.



Oto jak należy zakładać gorący wilgotny kompres na twarz.



Po zastosowaniu gorącego okładu otulamy twarz suchym ręcznikiem.

GDY ZACZYNAJĄ SIĘ DALEKIE WYCIECZKI SAMOCHODOWE...





Na prawo: Męski dress sportowy z jasnej flaneli — to najodpowiedniejszy strój również i dla pięknej pani na dalekie tury samochodowe.

Poniżej: W drodze przez Alpy.



Pierwsze złudzenie wiosny, jakiś zabłąkany w lutym słoneczny dzień pachnący wiatrem wiosennym, budzi w nas automatycznie myśl o zbliżającym się sezonie sportowym i turystycznym, w pierwszym rzędzie samochodowym. W każdym, bez różnicy. Bo ten, co jeszcze auta nie posiada, myśli o niem niemniej od jego posiadacza: motoryzacyjna tęsknota, to jakiś fluid, który z pierwszym podmuchem wiosennym wszędzie się wsączy i wszędzie dotrze.

Drogi — nawet te biedne, błotniste „polskie" — podsychają. Białe wstęgi autostrad błyszczą polewą asfaltu wśród nieśmiałej zieleni ozimin i tłustej, aromatycznej czerni zoranych pól. Blade jak tafla lodu mrozem ścięte zimowe niebo zaczyna nasycać się miękim, jedwabistym błękitem haftowanym gęsto trzepotem rozśpiewanych skowronków i podłużnym, granatowym ściegiem jaskółczych lotów.

Mieszkaniec miasta zaczyna otrząsać z siebie filisterską skórę mieszczucha, tęsknić za przestrzenią, wędrówką, przygodą... Jakże cudownie tęsknotom tym odpowiada auto! Kto go jeszcze niema, niech zasiądzie do rachunków, niech skontroluje swój budżet, niech ograniczy palenie, przerzedzi wizyty w kawiarni, wyrzeknie się tuzina nowych kapeluszy — ale niech koniecznie się „zmotoryzuje"!

Dwu-osobowa „Simka" nikogo nie zrujnuje, a można nią odbywać cudowne wycieczki niegorzej, jak paradnym Buickiem. To śliczne cacko nadaje się jak żadne, na prywatny wóz pięknej pani. Niewiele z niem kłopotu, prowadzi stale odchudzającą kurację jak jego właścicielka, więc niewiele trzeba benzyny, aby go nakarmić. A jak kokieteryjnie i „smart" wygląda pani za jego kierownicą.



Przejazdem przez Medjolan (w głębi „Il Duomo").

ZDJĘCIA H. von PERCKHAMMER

Poniżej: Willa d'Este nad jeziorem Como.



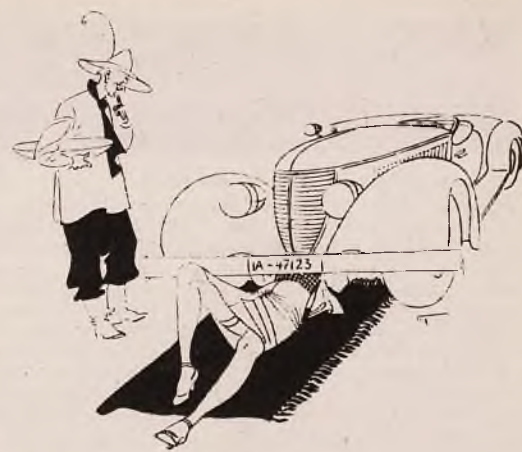
Gdy kwestja auta już załatwiona, pozostaje dla pani jeszcze kapitalna kwestja: jak ubrać się do auta?

Wybór odpowiedniego „dressu" nie jest łatwiejszy od wyboru maszyny. I tu trzeba się zastanowić, w jakich warunkach i okolicznościach będziemy go nosić. Jeśli jeździmy piękną, ciemną limuzyną z liberyjnym szoferem przy kierownicy, możemy sobie w naszym stroju pozwolić na nutkę trochę strojniejszą i bardziej „somptueuse", nawet gdy wybieramy się na „week-end, czy w dalszą turystyczną



podróż. A więc elegancki płaszcz wiosenny, przybrany lisami, lub modny kostjum w pasy, kraty lub gładki, raczej ciemniejszy niż jasny, niezbyt kolorowy.

Jeśli traktujemy auto zupełnie sportowo, i rozporządzamy otwartą maszyną o opływowej linji, którą same kierujemy, trzeba się zdecydować — na dress wyraźnie sportowy, praktyczny i wygodny, odporny na kurz. W tej dziedzinie ostatnim krzykiem mody są — męskie ubrania, już od szeregu lat lansowane zresztą przez Marlenę Dietrich;



a więc spodnie z angielskiej flaneli, koszulkowa bluzka z jedwabiu do prania lub ciepły pull-overek pod szyję i marynarka, bądź to w kolorze spodni, bądź w zupełnie odmiennym, a ładnie sharmonizowanym. Do tego sportowe półbuciki z cienkiego boksu, zamszu, huntingu lub świńskiej skóry, naturalnie na niskim lub prawie niskim obcasie. Przy takim surowym, sportowym dressie na fantazję pozostaje właściwie tylko miejsce — na głowie. Raz będzie to chusteczka wiązana pod brodą à la wiejska Marysia, ale to się już trochę opatrzyło. Innym razem kapturek, skrojony razem z kurtką sportową, to znów fantazyjny turbanik, upięty z kolorowej szarfy i związany nad czołem w małego motyla. Modne są również czepeczki, sporządzone ze zwykłego, kolorowego szalika wełnianego na szyję. Składa się go w pół, zeszywa od środka na jakieś kilkanaście centymetrów i wkłada na głowę jako kapturek, spinając pozostałe końce lub wiążąc pod brodą.

Praktyczny, ale nieco ciężki kombinezon wystarczy mieć pod siedzeniem na wypadek, gdyby zdarzyła się na szosie jakaś nieprzewidziana kraksa i zmusiła nas do „leżenia pod wozem", co przy wiosennych deszczach i błotach może poważnie zagrażać bardziej delikatnemu ubiorowi.

W małych maszynach, o charakterze sportowym, ładnie wygląda pani ubrana barwnie i śmiało, w harmonji z kolorem wozu: popielate „aero" wybite czerwoną skórą ładnie harmonizuje z popielatemi flanelowemi spodniami, bluzeczką i chusteczką pąsową w białe groszki swej właścicielki. Zielona jak młoda żabka „Simka" prosi się o kombinację flaneli szarej lub piaskowej z kurtką z zielonego zamszu lub brązową marynarką przy zielonej bluzce i szaliku. W srebrzystem torpedo uroczo będzie pani wyglądać, ubrana w kostjumik z szaro-niebieskiego jersey'u itd.

O jednem tylko musimy pamiętać: elegancki dress w aucie, to konieczne uzupełnienie ładnej całości. Ale nic nam nie pomoże, przeciwnie może nas ośmieszyć, jeśli nie odpowiada mu prawdziwie sportowy duch jego właścicielki.

Lady Like.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

FRANCUSKA ZUPA Z CHLEBA. Drobno pokrajaną małą cebulkę przysmaża się na łyżce masła; gdy się troszkę zrumieni dodaje się 10 dkg chleba skrajanego na cienkie płatki i smaży razem przez chwilkę. Osobno gotuje się rosół z kości i jarzyn, lub też o ile zupa ma być jarską daje się w miejsce kości 1 dkg grzybów suszonych. Rosołem tym, którego powinno być nie więcej ponad litr, zalewa się usmażony chleb, a po rozgotowaniu przeciera się chleb wraz z jarzynami przez sito i podprawia zupę $^1/_4$ litrem śmietanki rozkłóconej z żółtkiem; zupę podaje się z jajami w koszulkach (pochée) lub też z groszkiem ptysiowym, albo smażonym grzybkiem.

PIKANTNE OMLETKI. Dobrego śledzia tłustosza obiera się z ości i miele lub rozciera nożem. 5—6 jaj, 3 łyżki wody i 3 łyżki mąki ubija się spiralką od piany na gładki jednolity płyn, dodaje roztartą masę śledziową i miesza razem. Na małej patelce wysmaża się z tego małe omletki, które się trzyma w cieple aż do wysmażenia wszystkich, — muszą być mianowicie podane na gorąco. Jako dodatek, smażone ziemniaczki, fritki, lub purée ziemniaczane.

SUFLET Z RYBY. Pół kg jakiejkolwiek ryby gotuje się w słonej wodzie, zakwaszonej octem. Po ugotowaniu miele się rybę oczyszczoną z ości w młynku od mięsa. 6 dkg masła i troszkę więcej mąki, smaży się razem na złoty kolor, zalewa $^1/_4$ litrem mleka i miesza ten beszamel na ogniu, aż od ścian rynki się odrywa. Beszamel uciera się z trzema żółtkami, poczem dodaje się zmieloną rybę, troszkę soli i pieprzu, oraz parę łyżek marmolady pomidorowej i miesza razem. W końcu należy ostrożnie wmieszać sztywną pianę z 3 białek. Metalowy lub inny ogniotrwały półmisek naciera się masłem, nakłada przygotowaną masę rybną i wstawia na pół godziny do gorącego piecyka. Podaje się szybko po upieczeniu, aby nie opadł. Należy go też sporządzać tuż przed wydawaniem obiadu.

KARP PO WĘGIERSKU. Przygotowanego karpia nasala się i odstawia na godzinę, następnie kraje się go w dzwonka. Można to też uczynić przed nasoleniem. Pojedyncze dzwonka obsusza się na czystej ściereczce, osypuje mąką, smaży na maśle z obu stron i wyjmuje na talerz. Na pozostałe masło rzuca się dwie łyżki siekanej cebuli, podrumienia ją, wkłada odstawioną rybę, przykrywa i wstawia na pół godziny do gorącego piecyka (o ile ryba nie była gruba, wystarczy 15—20 minut), poczem wlewa się $^1/_4$ litra śmietany rozkłóconej z łyżką słodkiej papryki i łyżeczką mąki, dusi rybę w śmietanie przez chwilę i wydaje obłożoną makaronem lub małymi wykrawanymi ziemniaczkami. Sos powinien być gęsty, mocno różowy.

JARMUŻ Z PARÓWKAMI. Jarmuż jasno-zielony i dobrze przemarznięty traci swój gorzkawy posmak i znajdzie amatorów. Wybrane czyste liście bez łodyg, parzy się wrzątkiem i sieka drobno, następnie dusi przez chwilę z troszką wody. Gotowy jest, kiedy go można w palcach rozetrzeć, wtedy dodaje się zasmażkę z łyżki masła i mąki. Na maśle zasmaża się naprzód troszkę siekanej cebulki, zasypuje łyżką mąki, smaży na blado-złoty kolor, zalewa troszką mleka, wkłada siekany jarmuż, podgotowuje i wydaje obłożony parówkami lub sadzonemi jajami.

KREM CZEKOLADOWY. $^1/_4$ litra mleka zagotowuje się z laseczką wanilji, dodaje 10 dkg tartej lub pokruszonej czekolady i rozgotowuje. Osobno uciera się 3 żółtka z 6 cukru i łyżeczką mąki, zalewa gorącą czekoladą po przednio przygotowaną i miesza na ogniu aż do zgęstnienia, poczem odstawia się krem z ognia i dodaje 4 listki żelatyny, rozpuszczone w paru łyżkach gorącego mleka. Żelatynę należy przelewać do kremu przez sitko. Wymieszany z żelatyną krem, nalewa się do formy wypłókanej zimną wodą i wstawia po zupełnem ostudzeniu do lodu. Krem wyłożony na talerz pokrywa się bitą śmietanką. Podaje się z waflami lub keksami.

TORT ORZECHOWY LUB MIGDAŁOWY. 5 żółtek i 15 dkg cukru uciera się na pianę, poczem dodaje się: 15 dkg orzechów lub migdałów mielonych, sok z połówki cytryny i troszkę otartej z niej skórki, pianę z 5 białek i 8 dkg sypkiej mąki. Tort piecze się w tortownicy natartej masłem przez 45 minut. Na drugi dzień po upieczeniu, przekrawuje się go przez pół za pomocą cienkiego sznurka i napełnia marmoladą lub kremem.

KREM WANILJOWY DO TORTÓW: $^1/_4$ litra mleka rozkłóca się z trzema łyżeczkami mąki, dodaje laseczkę wanilji, zagotowuje mieszając na gęstą papkę i wystudza. Osobno uciera się na pianę 14 dkg deserowego masła: do zupełnie roztartego masła dodaje się po łyżeczce ostudzoną papkę mleczną oraz 12 dkg cukru pudru. Należy ciągle pilnie ucierać, inaczej krem się nie uda. Krem powinien być zupełnie gęsty i sztywny. Napełniony nim tort powinien stać w chłodzie ze względu na masło, które łatwo jełczeje.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU



Obecna moda wybitnie faworyzuje starą biżuterję, która znów stanowi ozdobę pięknych pań. Często się jednak zdarza, że długi czas nie używane precjoza, straciły swój blask świeżości: przywracamy go, czyszcząc je miękką szczoteczką, zwilżoną w wodzie kolońskiej.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 11 — **Marzec** — Dni 31
Niedziela **12** Grzegorza W.	Przystawka lub zupa z móżdżków. Omlety z grzybkami. Kaczka pieczona z jabłkami. Tort orzechowy z kremem. Kolacja: Zimny rozbef z zieloną sałatą.
Poniedziałek **13** Krystyny	Zupa chlebowa z grzybkiem. Kapuśniaczki drożdżowe. Stek cielęcy z jarzynkami. Legomina z grysiku z szodonem owocowym. Kolacja: Pikantne omletki z fritkami.
Wtorek **14** Matyldy	Rosół z kaszką krajaną. Kotleciki jarzynowe. Carré wieprzowe z kapustą. Kisiel owocowy. Kolacja: Ozorki cielęce w pomidorach.
Środa **15** Longina	Krupnik na śmietanie z koperkiem. Suflet rybny. Knedel bułczany z sosem grzybowym lub z zrazami zwijanymi. Kompot z śliwek suszonych. Kolacja: Sadzone jaja w jarmużu.
Czwartek **16** Lubina	Zupa fasolkowa z tartem ciastem. Główka cielęca jako ragoût. Kura duszona w sosie śmietanowym z ryżem. Krem czekoladowy. Kolacja: Soczewica z kiełbasą.
Piątek **17** [G]ertrudy	Zupa grzybowa z płatkami. Salsefia w sosie holenderskim. Karp po węgiersku z makaronem. Tort makowy. Kolacja: Ryby wędzone bałtyckie.
Sobota **18** [Edw]arda kr.	Zupa ryżowa z cytryną. Kotlety śledziowe z purée ziemniaczanem. Gołąbki z marchewką duszoną. Kompot. Kolacja: Wątróbka po wiedeńsku.



HOCKI-KLOCKI

BĄDŹ TU DOBRYM!



— Wychowałem tę paskudną małpę od małego, a oto jest podzięka za moje starania. „Esquire".

Rozwiązanie z Nru 10-go.

OJCIEC I SYN.

Ojciec ma 23 lata.

CUKIERKI.

Staś wydał na cukierki 30 gr.

TROCHĘ ARYTMETYKI.

Renkloda waży 2 dkg, gruszka 6 dkg, a pomarańcza 8 dkg.

W ROKU 1975.

Uczony zobaczy wschód słońca 9 razy.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ILE STRACIŁ.

Profesor Mnożnik badał przy pomocy testów stosunek czynników emocjonalnych do intelektualnych w t. zw. „rozumowaniu" ludzi wykształconych. W tym celu dawał osobom badanym szereg testów do rozwiązania i niemal z reguły otrzymywał odpowiedzi zupełnie błędne, gdyż stosunkowo mało kto posługuje się rozumowaniem logicznem z chwilą, gdy opuścił mury jakiegoś zakładu naukowego.

Oto jeden z testów prof. Mnożnika, który na 11 osób badanych 11 rozwiązało błędnie.

„Pan X. kupując buty za 16 zł. wręczył szewcowi banknot 20 zł. Szewc nie miał drobnych, więc pobiegł do sąsiada zmienić dwudziestozłotówkę, a następnie wydał panu X. 4 zł. Za godzinę przybiegł sąsiad z tym samym banknotem, twierdząc, że pieniądz jest fałszywy. Wobec tego niefortunny szewc musiał mu dać inny banknot 20 zł. Ile ogółem stracił szewc na sprzedaży butów?".

DRUGI TEST PROF. MNOŻNIKA.

A oto drugi test profesora: „Pan Kanarek obiecał żonie kupić na imieniny złoty zegarek. Jednak zupełnie nie miał pieniędzy, a najtańszy zegarek, jaki znalazł, kosztował 90 zł. Nie mając innego wyjścia, pan Kanarek zostawił swój własny zegarek, którego wartość oszacowano na 60 zł., lecz wypłacono p. Kanarkiwi tylko 50 zł. P. Kanarek postanowił zdobyć brakujące 40 zł. i poszedł do przyjaciela, któremu sprzedał kwit lombardowy za 40 zł. Dzięki swej przedsiębiorczości mógł żonie kupić złoty zegarek.

Powstaje jednak pytanie, kto i ile stracił na kupnie zegarka?

ZADANIA Z ZAPAŁKAMI.



Proponujemy Czytelnikom przełożyć 6 zapałem tak, żeby z nich otrzymać 2 kwadraty. Zapałek nie wolno krzyżować!

PRACODAWCY.

Dwóch pracodawców rozmawiało o ilości zatrudnionych przez nich robotników. Jeden z nich zauważył: „Jedna szósta moich robotników nie pracuje dzisiaj wcale, a 11 jest zajętych w polu; siedmiu dostało urlop, a 37 pracuje przy budowie nowego domu".

Na co drugi rzekł: „Ja jednak zatrudniam więcej ludzi od pana, bowiem u mnie pracuje aż 72 robotników. Ilu robotników zatrudnia pierwszy pracodawca?

CYKLIŚCI.

Czterech cyklistów miało przejechać pewien dystans, ale w ten sposób, że na zmianę każdy z nich odbywał tylko część wyznaczonej trasy. I tak pierwszy z nich przejechał połowę drogi i 1/2 km. Drugi — 3/4 pozostałej drogi i 3/4 km. Czwarty cyklista po przejechaniu 4/5 pozostałej drogi i 4/5 km przybył do mety. Ile km. wynosiła trasa?

OSTROŻNY ROZBITEK.



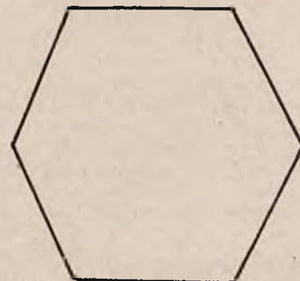
Majtek do kapitana: — Rozbitek daje znaki, że chętnie wejdzie na pokład naszego okrętu, o ile kryzys u nas minął... „Esquire".

FATALNE PRZYZWYCZAJENIE.



Świadek weselny: — Baldwin zawsze lubiał odkładać decyzję na ostatnią chwilę... „Esquire".

SZEŚCIOKĄT Z ZAPAŁEK.



Z sześciu zapałek proponujemy Czytelnikom ułożyć figurę wskazaną na rysunku. Następnie zmieniając położenie dwóch zapałek i dodając jedną, należy ułożyć dwa sześciokąty.

ZEGAR RATUSZOWY.

Jeśli zegar ratuszowy wydzwania piątą godzinę w ciągu 10 sekund, to w ile minut wydzwoni godzinę dwunastą?

BECZKI Z WINEM.

Trzej kupcy win postanowili rozwiązać spółkę i przy podziale towaru okazało się, że na składzie pozostało jeszcze 21 beczek wina — 7 pełnych, 7 do połowy napełnionych i 7 pustych. W jaki sposób mogą wspólnicy podzielić beczki i wino między siebie bez przelewania wina z jednej beczki do drugiej i to tak, by każdy z nich otrzymał nietylko tę samą ilość wina, ale i beczek?

KOSZ JABŁEK.

Jeśli będziemy brać z kosza jabłek za każdym razem po 3, wówczas po pewnym czasie pozostanie na dnie kosza tylko jedno jabłko. Jeśli natomiast będziemy brać z kosza po 4 jabłka, to zostaną 2 jabłka. Jeśli wreszcie będziemy wyjmować po 5 jabłek, pozostaną 3 jabłka, a jeśli będziemy wyjmować po 6 — 4 jabłka. Jabłek w koszu było mniej niż 100 — ale ile?

O tak! – to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...

NA SCENIE

POZNAŃ Teatr Polski wystawił **„Lato w Nohant"** Jarosława Iwaszkiewicza w reżyserji p. Szyndlera i oprawie dekoracyjnej p. Szpingiera. Sztukę wybitnego autora przyjęto bardzo gorąco. Wytrawny krytyk Witold Noskowski oświadczył po premjerze, że dawno nie było na scenie poznańskiej takiego debjutu, jaki ma autor „Lata w Nohant". Rolę George Sand zagrała z przekonaniem p. Sawicka, wywiązując się z niej pomyślnie. Trochę ponad siły p. Paszkowskiej była postać Solange. Dobrą sylwetkę Szopena stworzył p. Rewkowski.

KATOWICE. Teatr im. Wyspiańskiego przygotował widowisko, przeznaczone na okres wielkopostny, misterjum francuskiego autora Desfiniesa pt. **„Syn Boży"**. Rzecz składa się z pięciu obrazów, przedstawiających epizody z życia Chrystusa. Postaci Zbawiciela na scenie nie widzimy, od czasu do czasu słyszymy tylko Jego głos za kulisami. Z pośród wykonawców należy wymienić pp. Zofję Grzębską, jako córkę Józefa z Arymatei, Ewę Jarecką jako Marję z Magdali, Konstantego Tatarkiewicza jako członka Sanhedrynu, Bronisława Kasowskiego (Nikodem). — Reżyserja — W. Biegańskiego, który z przejęciem wygłosił słowa Chrystusa. — Oprawa dekoracyjna prof. Jarnutowskiego. **J.**

NOWE KSIĄZKI

„Żywot chirurga" Andrea Majocchi (Książnica-Atlas) i „Jak zostałem chirurgiem" Jerzego Sawy (Rój).

Nie jest to z pewnością „lektura do poduszki", ani taki sobie pamiętnik, przeznaczony dla wzbudzenia łatwej sensacji. Autor tch wspomnień, wybitny chirurg włoski, opowiada dzieje swego życia, poświęconego sztuce lanceta. („Żywot chirurga"). Jeśli ktoś sądzi, że chirurg jest człowiekiem nieczułym, o stępionej wrażliwości na cierpienie, ten po przeczytaniu książki dr Majocchi'ego zrozumie, że był w błędzie, że w każdym razie „żywot chirurga" — to przejmujący dramat, rozgrywany prawdziwie na pograniczu życia i śmierci.

Trzeba nielada nerwów, aby sprostać zadaniu, trzeba ciągłego doskonalenia swego rzemiosła, bogacenia dorobku wiedzy lekarskiej. Czytając wspomnienia A. Majocchi'ego, poznajemy „kulisy" karjery wybitnego specjalisty, przekonywujemy się, jak wielka odpowiedzialność ciąży na chirurgu, zwłaszcza dzisiaj, kiedy sztuka lancetu osiągnęła niezwykle wysoki poziom i może sprostać najtrudniejszym wypadkom, dawniej uznanym za beznadziejne.

Dr Majocchi przytacza w swej książce przykłady z własnej praktyki, jak również z doświadczeń swych profesorów czy kolegów. Daje to tym wspomnieniom charakter dokumentu, mocno osadzonego w środowisku społecznem. Bardzo pouczające są stronice poświęcone chirurgji i organizacji klinik w Stanach Zjednoczonych. Mają one do dyspozycji cały sztab sił pomocniczych i najnowszych przyrządów. Pewne zastrzeżenia budzi w autorze fakt, że wprowadzono tam nazbyt „seryjny" system pracy. Osiąga się wprawdzie dzięki temu „rezultaty, do jakich nie miałby możności dojść żaden chirurg samodzielny", ale „łaciński temperament" buntuje się przeciwko takiej mechanizacji, która prowadzi do jednostronności w działaniu, do specjalizacji w wąskim zakresie.

„Żywot chirurga" zawiera przejmujące opisy zabiegów operacyjnych, dokonywanych we Włoszech z niebywałą wirtuozerją. Ponieważ autor nie pisze swej książki dla fachowców — opisy jego nie są przeciążone szczegółami technicznymi.

Jednocześnie z pracą dr Majocchiego ukazał się w przekładzie polskim pamiętnik Jerzego Sawy **„Jak zostałem chirurgiem"**. Autor (z pochodzenia Rosjanin) zrezygnowawszy z karjery wojskowej podczas rewolucji w Rosji — postanawia poświęcić się zawodowi chirurga. Próbuje szczęścia w różnych krajach Europy, ale nie mając odpowiednich studjów, ani środków materjalnych, musi pokonać mnóstwo trudności, zanim otrzyma wreszcie we Włoszech upragniony dyplom. **J.**

Michał Rusinek. „Ziemia miodem płynąca". (Książnica — Atlas).

Nowa powieść Michała Rusinka wiąże się z poprzednio wydanym „Plutonem z „Dzikiej Łąki" przedewszystkiem wspólnota bohaterów. Ale gdy tam widzieliśmy młodych chłopców, uczniów gimnazjalnych, teraz pokazuje autor ludzi dorosłych, przyczem najwięcej miejsca zajmuje postać Ignacego Nawrota, syna ubogich rodziców, który dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i swym zdolnościom wybija się w służbie urzędniczej, zajmuje z czasem wybitne stanowisko w centrali warszawskiej.

Najpierw lokuje autor akcję powieści w Krakowie, w mieście lat dziecinnych i młodzieńczych. Opisuje dokładnie miejsce spotkań „paczki" pięciu przyjaciół, w szynku pani Del Ponti. Tu jeszcze trzymają się razem dawni przyjaciele. Stopniowo jednak ich życiowa spójnia słabnie, choć zachowują dla siebie wiele przywiązania.

Rusinek kreśli wyborne karty, odzwierciedlające życie biurowe w Krakowie, a potem w Warszawie. Rusinek stał się w swej powieści epikiem zielonego biurka! Nie znaczy to, żeby głosił pochwałę systemu biurokratycznego. Raczej przeciwnie: autor nie ukrywa faktu, iż machina biurokratyczna może nieraz nieświadomie uczynić wielką „śmiertelnikowi" wiele krzywdy. Tak, jak np. Nawrot, sam nie wiedząc o tem, przyczynia się do nieszczęścia jednego ze swych dawnych kolegów.

Powieść zamyka treściwy „Pamiętnik Ignacego Nawrota", obejmujący przeżycia warszawskie bohatera „Ziemi miodem płynącej".

Twórczość powieściowa Rusinka obejmuje coraz szersze kręgi życia; jednocześnie krzepnie talent autora, wypracowującego sobie własny styl pisarski. A przytem odnosi się wrażenie, iż każda nowa jego książka to nietylko etap walki o wyraz artystyczny, lecz także porachunek z własnemi przeżyciami, ze światem swej młodości i lat młodzieńczych. **J.**

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 12 marca.

9.15 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa.
12.03 Poranek symfoniczny z Teatru Wielkiego we Lwowie.
16.30 Recital fortepianowy Wandy Piaseckiej.
17.20 Podwieczorek przy mikrofonie.
19.30 Utwory Paganiniego w wykonaniu słynnych wirtuozów.
21.20 „Kalejdoskop" — koncert z Poznania.
21.50 Wesoła audycja ze Lwowa „Radjo dla wszystkich".

Poniedziałek, 13 marca.

15.00 „Nędznicy" — słuchowisko dla młodzieży.
16.35 Ludwik van Beethoven — Kwartet fort. Es-Dur.
17.15 Dzieje elektryczności na tle rozwoju nauki — odczyt.
17.30 Antoni Dworzak: Stabat Mater. Transm. z Bazyliki Wileńskiej.
19.05 Pociąg w nieznane — audycja muzyczna.
21.00 Koncert solistów.
22.00 „Dzieje symfonji" — audycja muzyczna.

Wtorek, 14 marca.

15.00 „Wszędzie jest życie i na dnie oceanu".
16.50 „Koń Przewalskiego" — pogadanka.
17.00 Koncert kameralny z Krakowa.
20.05 „Mignon" — opera Thomas'a. — Transm. z Teatru Wielkiego w Poznaniu.
22.27 W przerwie szkic literacki „Literatura na szczytach panegiryzmu".

Środa, 15 marca.

15.30 Muzyka obiadowa z Katowic.
16.35 Pieśni o Męce Pańskiej. — Transmisja z Kościoła św. Krzyża ks. ks. Misjonarzy.
17.15 Koncert w wyk. Ork. Smyczkowej Zw. Muzyków Chrześcijan.
21.00 „Opowieść o Chopinie".
21.35 „Poezja wieku złotego" — kwadrans poetycki.
22.05 Koncert z okazji święta narodowego Węgier. Transmisja z Budapesztu.

Czwartek, 16 marca.

15.30 Muz. obiadowa ze Lwowa.
17.00 „Angkor" — feljeton.
17.15 Recital skrzypcowy Maksymiljana Henniga.
21.00 Recital fortepianowy Aleksandra Umińskiego.
22.00 Folklor różnych krajów — Szkocja — koncert.
23.05 Koncert polskiej muzyki kameralnej.

Piątek, 17 marca.

15.00 „Gejzery" — reportaż przyrodniczy.
19.15 Konc. rozrywkowy z Wilna.
21.00 Chór Polskiego Radja.
21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.

Sobota, 18 marca.

15.30 Muz. obiadowa ze Lwowa.
16.35 „Od Legjonów Piłsudskiego po Legjon Zaolziański" — audycja muzyczno-słowna.
17.25 Polskie miniatury kwartetowe.
21.00 „Nie masz pana nad żołnierza" — muzyka i humor.
23.15 Polska muz. rozrywkowa.

Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1